Numer 10. Nalet. poczt. opł. gotówką. Dnia 6 Marca 1932



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Śpiew i muzyka.

Mimo różnych niedomogów życiowych, człowiek chętnie słucha śpiewu lub muzyki, a wielu młodych pragnie uczestniczyć w wykonaniu słyszanych melodyj. To też wielu ludzi obdarzonych słuchem muzycznym, rwie się do nauki gry na instrumencie najwięcej mu odpowiadającym. Niestety często z braku czy to sposobności czy też funduszów, ograniczyć się muszą do naśladowania melodyj zasłyszanych, gdyż nie mieli i nie mają możności poznania sztuki nut, — niektórzy znowu posiadający zapomniane początki, — znajdują się w tem samem co i pierwsi położeniu.

Zwrócić wypada uwagę na podręcznik wydany przez jednego z amatorów muzycznych, służący jako samouk do nauki gry na skrzypcach i to bez pomocy nauczyciela, obejmujący praktyczne ćwiczenia i wyczerpujące objaśnienia wraz z ilustracją t. zw. palcówek a z zestawieniem klucza wiolinowego z kluczem basowym i altowym, znajdującego się przy końcu samouka, każdy obeznany z zastosowaniem nut na skrzypcach, potrafi się zorjentować ze zastosowaniem ich na dalszych instrumentach smyczkowych, t. j. na altówce, basetli i basie.

Przystępna cena samouka 6 zł. udostępnia każdemu możność nauczenia się gry na wymienionych instrumentach.

Wysyła za pobraniem pocztowem wydawca Piotr Woltal w Bochni.

Rozmowa wierzyciela z dłużnikiem.

— Jakoś ci nie pilno oddać mi te 300 złotych, które odemnie pożyczyłeś.

— Co nagle, to po djable.

— Obiecywałeś solennie, że zwrócisz je za miesiąc.

— Obiecanka, cacanka, a głupiemu radość.

— Istotnie byłem głupi, że pożyczyłem ci pieniędzy.

— Nie pożyczaj.

— Przez tyle lat miałem cię za uczciwego człowieka.

— Kto z kim przestaje, takim się staje.

— Przekonałem się, że jesteś lekkomyślny, marnotrawny, nierzetelny.

— Widzisz źdźbło w oku sąsiada, a nie widzisz belki w swojem.

— Kiedyż nareszcie oddasz mi ten dług?

— Na święty fryc, kiedy będą owce strzyc.



U dentysty.

— Kto z państwa czeka najdłużej? — zapytuje uprzejmie dentysta, otwierając drzwi poczekalni.

— Ja! — odpowiada jakiś energiczny głos — od dwóch lat czekam na zapłacenie ubrania.



Ręczna robota.

— Bój się Boga, Ignacy, cóż ty masz tak okropnie twarz podrapaną?

— E nic, tylko ręczna robota mojej żonusi.

Muzykalna rodzina.

— Rodzina Kikiewiczów jest wzorem umuzykalnienia.

— Dlaczego?

— Ojciec jest fujarą, matka trąbą, jeden syn cymbałem, a drugi bębnem. Dziadzio emeryt cienko śpiewa, a babcia gra mu na nerwach. Guwernantka kręci ojcu gitarę, lecz mimo to w całej rodzinie panuje harmonja.



U adwokata.

Do adwokata przychodzi cygan i prosi, aby go bronił przed sądem.

— A będziecie mieli czem zapłacić? — pyta adwokat.

— No pewnie. Mam przecież konia, krowę i dwie kozy.

— A o co jesteście oskarżeni?

— O kradzież konia, krowy i dwóch kóz.



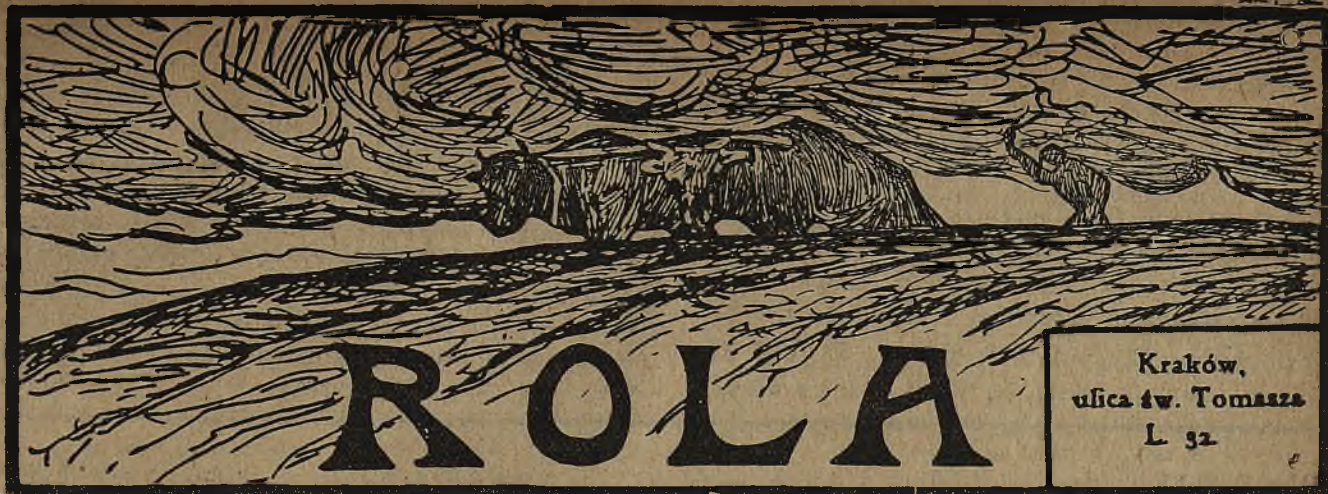
I temu kryzys winien...

— Nieszczęśliwe kaleki, wspomóżcie litościwą osobę.

— Czełu, co ty wygadujesz?

— A to bez ten kryzys gospodarczy tak mi się język całkiem poplątał.

Numer 10. Rok XV. Kraków, dnia 6 marca 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Dwa rodzaje pracy.

Zdawałoby się, że każda praca, wykonywana ściśle i sumiennie, powinna być jednakowo oceniana. A przecież tak nie jest, gdyż często ponad pracą najsumienniejszą ludzie przechodzą do porządku dziennego, podczas gdy mniej sumienne wypełnianie swych obowiązków wyolbrzymiają i przedstawiają, jako coś wielkiego i zasługującego na szczególniejsze wyróżnienie. Dzieje się to przeważnie tam, gdzie rezultaty tej pracy nie są zbyt uchwytne.

Postaramy się to udowodnić na kilku przykładach. Oto weźmy np. takie czyny wojenne. Naciera nieprzyjaciel. Zagrożeni żołnierze widzą niebezpieczeństwo, wiedzą, że posiada przeważającą przewagę, ale wiedzą i to, że gdy się cofną, że gdy go przepuszczą, skutki z tego mogą być dla własnej armji, a temsamem i dla Ojczyzny fatalne. I rzucają się chłopcy na szeregi nieprzyjacielskie, jak lwy, i łamią je. Zasłużyli sobie na uznanie ci, którzy pozostali przy życiu, a na wieczną pamięć ci, którzy polegli w obronie Ojczyzny. A rezultat? Otrzymał „Virtuti Militari“ dowódca oddziału, który może gdzieś w bezpiecznem miejscu przypatrywał się całej akcji. Jego największą zasługą było to, że umiał za sobą pochodzić i odznaczenie uzyskać. Nie zawsze tak było, ale zdarzało się dość często.

W biurze idzie wszystko, jak z płatka, urzędnicy pracują ponad siły, biorą część roboty nawet do domów, aby nie było zaległości. Uznanie i odznaczenie dostaje naczelnik biura, który się nigdy nie przepracowywał, bo on umie za sobą pochodzić.

W szkole rezultaty pracy są znakomite, bo nauczycielstwo spełnia swe obowiązki z całą sumiennością. O uznaniu dla nich nikt nie pomyśli, a zaszczyty spadają na kierownika szkoły.

Czasem uznania takie są wprost humorystyczne. Oto maleńki przykład z mojego życia. W czasie wojny pracowałem w tak zwanej „Verwaltungskommission“ w Nowym Sączu. Miałem przydzielony referat reklamacyj i zwolnień z wojska wskutek choroby. Ponieważ szło tu o wyciąganie ludzi z rowów strzeleckich, więc pracowałem z całą gorliwością, aby co szybciej ludzi tych powrócić na łono rodziny. Rezultaty mej pracy były wprost znakomite. Ale nie o to tu chodzi. Obok mnie miał biurko profesor z Wiednia, już dziś nieżyjący, p. B. Ten za dwa miesiące pracy zdołał polinjować arkusz papieru po jednej stronie. Zapowiadają nam wizytację pułkownika Piaseckiego z Krakowa na trzy dni wcześniej. Przełożony nasz poleca nam, abyśmy wszystkie załatwione „kawałki“ w tym czasie zostawiali u siebie na biurku, nie wysyłając ich dalej, aby było się czem pochwalić przed panem „Oberstem“. Uzbierało się stos tego na mojem biurku. Przyszedł pan pułkownik i pyta się mnie o rezultaty mej pracy. Ponieważ wstyd mi było mnie Polakowi rozmawiać z pułkownikiem Polakiem po niemiecku, a ten udawał, że języka polskiego nie rozumie, więc wskazałem tylko ręką na stos aktów, jako na rezultat mej jednodniowej pracy, choć to była praca sumienna z trzech dni ubiegłych. Rozsierdzony pułkownik powiedział mi na to: „Das ist alles zu wenig“ (to jest wszystko za mało) i odszedł do biurka mego sąsiada.

Drżałem o mego kolegę z obawy, co usłyszy od pana pułkownika, gdy ten się dowie o rezultatach jego pracy. Ale sąsiad mój, władający doskonale językiem niemieckim, a przytem nie posiadający tych skrupułów językowych, co ja, zaczął opowiadać, jak on to musi wspinać się po drabince za aktami, jak to musi przerzucać stosy papieru, aby odpowiedni

akt wyszukać itp., tak potrafił zamydlić oczy przełożonemu, że ten kazał dać mu z miejsca drugiego żołnierza do pomocy i udzielił mu trzy dni urlopu wypoczynkowego.

Opowiedziane tu zdarzenie, najzupełniej autentyczne, charakteryzuje doskonale te dwa rodzaje pracy: cichej, żmudnej, bez uznania, i chałaśliwej, za którą się otrzymuje zaszczyty i odznaczenia.

I gdybyśmy skrupulatnie zbadali listę tych, którzy już za czasów polskich otrzymali różne ordery, to przekonalibyśmy się, że wielu pomiędzy nimi znalazłoby się takich, którym żadne odznaczenie się nie należało, gdy na nie nie zasłużyli. I z drugiej strony, gdybyśmy się rozglądnęli pomiędzy naszymi znajomymi, tobyśmy znaleźli dużo ludzi takich, którzy żadnego odznaczenia nie posiadają, a którzy powinni mieć odznaczenia najwyższe. Ale są to ci, którzy swej pracy nie chcieli lub nie umieli reklamować, bo pracowali nie dla odznaczeń i uznań, ale spełniali swój obowiązek sumiennie i gorliwie dla dobra społeczeństwa i na chwałę Ojczyzny. *A. St. B.*

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

XIII.

Nazajutrz przygotowano nosze z gałęzi, aby w myśl życzenia przenieść starego Skrybę do gontyny. Przebrano go w odświętne szaty, ułożono na noszach, a Stańko, dobrawszy sobie trzech pomocników, gotował się do drogi. Zebrała się gromada ludzi, by towarzyszyć Skrybie w jego ostatniej podróży za życia. Każdy bowiem wiedział, że stary zamrze lada chwila, że duch ledwo się kołacze w nędznem ciele...

Odeszli. Dworzyszcze opustoszało. Została tylko Sława, niechcąca opuścić chorego, i Luboń stary, który zaszył się w siano, by jak mówił „wyprostować kości“.

Sława, szczęśliwa nad wyraz, ścigała wzrokiem rozjaśnione spojrzenia kapłana, którego twarz śmiała się do ludzi, do słońca... Dziewczyna układała w myśli pytania, z któremi miała zwrócić się do tego, którego w sercu dawno już bratem nazwała.

Tymczasem dał się słyszeć człapiący chód i w drzwiach ukazała się Jarucha, przybrana odświętnie. Wydobyte ze skrzyni, cuchnące zgnilizną, ale niemniej bogate stroje, zmieniły ją nie do poznania. Wprawdzie czerwień spłowiała nieco, błękit spełzł, ale całość podniesiona bogactwem klejnotów, przedstawiała się okazale.

Kapłan i Sława patrzyli ze zdumieniem na zmianę widoczną w całej postaci babki.

— Dawno odeszli? — pytała już w drzwiach.

— Dopiero! — odpowiedzieli oboje, witając starą.

Stara spojrzała na nich dziwnie miękko.

— Pytałeś mnie wnuku o Zorzę... Oto Zorza, zostawszy żoną Jaksy, zamieszkała obok grodu pańskiego. Nie mieli potomstwa, gdyśmy w lasy ruszyli. Oni odejść nie chcieli, przy panu wiernie stojąc i gdy chrzest przyjął, przyjęli i oni oboje. W rok potem urodziła im się córka Sława, ale Zorza, dając jej życie, zmarła... Nie chciałam, aby dziecię w obcej chowało się wierze. Piastunka dziecięcia znaną mi była i na błyskotki łasa... dość, że wykradłam z jej pomocą dziecię... Uszliśmy potem w knieje, aby ślad zaginął! Dziecię miało wówczas cztery latka i otrzymała na chrzcie imię Katarzyny. Ja zaś przezwałam ją Sławą...

Kapłan i Sława spojrzeli na siebie i jednocześnie wyciągnęli ramiona:

— Siostro! Bracie!

Choć spodziewali się tego i przeczuwali, z radością tulili się do siebie, a stara patrzyła na nich tkliwie, serdecznie...

— A ociec mój, babko? — pytała po chwili Sława

— Znikł gdzieś! O ile żyw, potraficie go odnaleźć!

— A wy, babko?

— O mnie nie myślcie! Do gontyny muszę... czas mi już... tamci odeszli!

Mówiąc to, ucałowała oboje ze łzami w oczach i wyszła szybko.

— Siostrzyczko kochaną! Daleko stąd owa gontyna? — pytał kapłan.

— Żebyście silniejsi byli, pokazałabym wam. Z dziedzińca za domem widać doskonale.

— Spróbuję, może przejdę! Cóż to zawsze będę niedołęgą?

— Czekajcie, ławę narządzę! — skoczyła Sława.

Za chwilę wyszedł powoli, wsparty na ramieniu siostry.

— Ot tam! patrzcie! widzicie to wzgórze lasem porosłe — rzekła, wskazując odległy, wyższy znacznie od Triglawskiej góry pagórek, pokryty mięszanym lasem.

— Zimą, gdy liście oblecą, widać ją doskonale. Teraz gąszcz przysłania.

— Ot kapliczkęby tam zbudować — marzył kapłan.

— Dlaczegobyście zbudować nie mieli! Tylko pozdrowiejcie! Ale wpierw o wierze waszej pouczyć mnie chciejcie! boć wasza wiara, moją wiarą.

Kapłan chętnie wziął się do dzieła; a że wdzięczną i ochotną miał słuchaczkę, czas upływał szybko. Minęło już południe, gdy Sława przypomniała sobie o posiłku. Zjawił się Luboń, więc zasiedli wspólnie do posiłku.

— Coś długo ich nie widać — zauważył stary.

— Na jezioro mieli iść, sieci opatrzeć! — odparła Sława — pewnikiem na wieczerzę wrócą, dziada po drodze zabierając.

— Ej! coś mi mówi, że on tam ostanie! — mruknął po chwili Luboń.

— Czemuby? — zakrzyknęli młodzi — czyż mu tu źle?

— Eee, źle nie źle! Ale mi się widzi, że on tam zamrzeć poszedł!

Młodzi zamilkli. Nie chcieli spierać się ze starym, ale dowodzenie jego wydało im się niemożliwością.

Milczeli więc chwilę, rozbierając w myśli uwagę Lubonia. Potem jednak zeszli na inny temat. Ksiądz opowiadał Sławie o gwarze i ruchu panującym na pańskim dworze, o zwyczajach, które wyniósł z domu rodziców, wreszcie zszedł znów na naukę wiary św., tłumacząc Sławie tajemnicę chrztu świętego i dalszych Sakramentów, a Sława i Luboń tak się zasłuchali, że nie zwrócili uwagi na gęste zwoje dymu, snujące się po przeciwległem wzgórzu niby gęsty, cie-

mny obłok. Dopiero jeden z czeladzi, wyszedłszy ze stajni, spojrzał w tamtą stronę, zmieszał się, przysłonił oczy ręką i odwróciwszy głowę w stronę siedzących, rzekł nieśmiało:

— Darujcie panno, ale widzi mi się, gontyna w ogniu!

Siedzący porwali się na równe nogi. Luboń spojrzał uważnie i:

— Ano prawda! — rzekł — pali się!

— A jednak nie omyliłem się! Twardy stary i nieustępliwy! — zamruczał do siebie i powlókł się na drogę, prowadzącą do gontyny, aby złapać jakieś wieści.

Sława posłała konnego, a sama stała wpatrzona w ogień.

Najlżejszy wiaterek nie poruszył listka na drzewie, to też dym to snuł się ciężko, to opadał, ukazując morze płomieni. Usta kapłana poruszały się w cichej modlitwie, a serca obojga ścisnęło trwożne przeczucie.

XIV.

Ludzie, niosący nosze, szli wolno i uważnie, to też po dwóch zaledwie godzinach stanęli na obszernym dziedzińcu Gontyny. Równocześnie prawie ukazała się Jarucha.

Drewniana gontyna piękniejsza była od innych budynków. Zbudowana z pni modrzewiowych, starannie obrobionych, zdobna była malowidłami i płaskorzeźbą, które przedstawiały jakieś potworne postacie ludzkie i zwierzęce. Do wnętrza prowadziły drzwi masywne, niezbyt szerokie, wzmocnione okuciami z bronzu. Wewnątrz panował półmrok, rozjaśniony tylko blaskiem ognia, płonącego dniem i nocą. Nad ogniem świętym czuwały stale dwie kapłanki, zmieniające się co kilka godzin.

W żółtawych blaskach ognia, walczącego o lepsze z wciskającemi się przez drzwi promieniami słońca, widać było obszerne wnętrze świątyni z olbrzymim posągiem Swarożyca w pośrodku. W głębi poza posągiem panował zupełny mrok. Czasem promień błysnął silniej, wtedy można było widzieć poczerniałą postać czterolicego bożyszcza, stojącą na szerokiem podwyższeniu z drzewa. Wtedy płomień odbijał się w błyszczących jego oczach, migotał w nich krwawym blaskiem, nadając mu pozory życia i grozy.

— Gdzie Hoża i Mira? — zapytała szeptem Jarucha, zwracając spojrzenie na smukłe, wiotkie postacie kapłanek, odziane w długie białe szaty.

— Spoczywają, — odparła jedna, wskazując oczyma poza siebie, w głąb gontyny.

— Zbudź je! — rozkazała stara.

Dziewczyna oddaliła się bez szelestu.

Za chwilę z cienia wysunęły się dwie starsze już, zaschnięte niby mumje postacie kapłanek, które milcząco czekały rozkazów starej.

— Przygotujcie wszystko do wróżb, zwołajcie wieszczków, bo przyszedł już czas! — rzekła, patrząc nań poważnie.

Niewiasty wzdrygnęły się, ale stały dalej nieme, jak głazy, czekając dalszych rozkazów, opanowane i chłodne.

— Dziewczęta wyślijcie w las po zioła! Nie mogą wrócić przed zachodem słońca... Teraz możecie odejść, a zawołajcie Radosławę.

Niewiasty spojrzały na siebie, następnie otworzyły usta, jakby rzec coś miały, ale powstrzymały się i odeszły w głąb świątyni. Stara powstrzymała je ruchem ręki.

— Czas jeszcze! Możecie odejść z innemi! Nikt wam za to złego słowa nie rzeknie!

Obie kobiety spojrzały na starą poważnie i potrząsnęły głowami przecząco, odchodząc w milczeniu.

Wnet u stóp Swarożyna (Światowida) ukazało się gliniane naczynie napełnione żarem, a wnętrze gontyny zaczęło się powoli zaludniać. Weszło trzech starców z długiemi, jak mleko, brodami, niosąc niezwykłe, starodawne instrumenty muzyczne o dziwnych kształtach. Przybyli usiedli na wiązkach chróstu, nagromadzonych pod ścianami. Za niemi wsunęła się piękna dziewczyna, z długiemi do kolan włosami, ubrana w krótką białą szatę bez rękawów, przepasaną wieńcem bławatów i maków, który obciśnięty w pasie spadał w malowniczych festonach na białą szatę dziewczynie. Podobny wieniec zdobił jasną główkę, na nogach łapcie lipowe, przywiązane skrzyżowanem łykiem, przybrane również kwiatami, których olbrzymi pęk trzymała w ręku, wszystko to czyniło ją podobną do królowej kwiatów lub wiosny!

Za dziewczyną wsunęły się obie kapłanki, a młode znikły w głębi.

Stara spojrzała na Hożę pytająco.

— Chcę zostać z wami! — szepnęła Hoża.

Jarucha zbliżyła się do dziewczyny i spojrzała jej w oczy głęboko!

— Młodaś, pięknaś, nie szkoda ci życia? — pytały badawcze oczy starej.

Odpowiedziało jej przeczące skinienie, a harde oczy spojrzały pewnie i dumnie!

— Czego? — badały oczy starej nieustępliwie.

— Taniec i gontyna, to wszystko, co kocham na świecie. Gdy ich braknie i życie moje bez nijakiej radości! Poco mi ono?

Stara pogładziła głowinę dziewczęcia i zbliżyła się do wejścia.

— Wnieście chorego i ułóżcie go tutaj — rzekła, wskazując podstawę Swarożyca.

Rozkaz starej spełniono w milczeniu i przybyli cofnęli się ku wejściu. Stara skinęła na Stańkę.

— Każcie ludziom odejść. Dziad nie wróci dzisiaj do osady. Jutro o wschodzie słońca niech przybędą.

Stańko skinął głową i podszedł do dziada, który patrzył nań jasnym, przytomnym wzrokiem.

Stary wskazał mu gestem zdrowej ręki, aby uniósł go nieco w górę.

Stańko ujął delikatnie głowę starca, a Jarucha podłożyła zwój skór, aby mógł patrzeć i widzieć wszystko. Uśmiech lekki rozjaśnił mu lica i pogładził głowę wnuka, który przypadł mu do kolan. Raz jeszcze ręka starego przesunęła się po czuprynie Stańka i dała mu znak odejścia.

W drzwiach minął się Stańko ze zgrzybiałą służebnicą gontyny Radosławą. Jarucha pociągnęła staruszkę w głąb.

— Jutro o wschodzie słońca pójdziesz do dworzyszcza Skryby. Wnęczce mej Sławie wskażesz miejsce, gdzie zakopałam przed laty skrzynię kowaną. To jej wiano!

— Pani moja! Pozwól mi pozostać przy tobie!

— Nie może być, sługo wierna! Służ Sławie, wnuczce mej, jakoś mnie wiernie służyła! Rozkaz to mój ostatni!

Radosława przypadła do kolan starej i nie patrząc już na nikogo, wybiegła z gontyny drobnym, drepczącym, lecz żwawym jeszcze krokiem.

Po jej odejściu stara zamknęła drzwi świątyni, zasuwając od wewnątrz zaporę, a następnie zasiadła

na trójnogu u stóp Swarożyca. Z naczynia glinianego w kształcie urny wydobywał się jak ongi, w kupalną noc, białawy dym o szczególnym zapachu.

Jarucha podniosła się raz jeszcze i wziąwszy w rękę łuczywo, zbadała starannie ciemne wnętrza i zasunęła maleńkie drzwiczki, służące kapłankom i im tylko znane.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Pewnego wieczoru...

(Dokończenie).

Szymon wbił oczy w to srebro i nie mógł ich oderwać... były same pięciozłotówki... Dopiero śmiech Macieja go obudził z tego zamyślenia.

— Czy to wszystko wasze? — zapytał zdumiony.

— Juści, że moje... same srebro... Oto macie trzydzieści złotych, jak będziecie mieć, oddacie.

Wsypał pieniądze do worka i schował do kieszeni. Spojrzał do okna, słyszał jak wicher uderzał śniegiem w szyby; przez jakąś szparę dostawał się do środka i kołysał lampą wiszącą u sufitu.

— Napijmy się jeszcze Szymonie, bo trzeba iść do domu, kobieta będzie się martwić.

— Czas macie, Macieju, jeszcze zajdziecie — rzekł zamyślony Szymon. Nie dawały mu spokoju te pieniądze, które widział na stole.

Jakieś dziwne myśli przechodziły mu po głowie. Mieć tyle pieniędzy, tyle srebra... Poco Maciejowi tyle pieniędzy?... Nie ma dzieci, ani ojców, coby ich musiał utrzymywać — ja to co innego!... — Gdyby mu tak odebrać te pieniądze... — Musiał coś postanowić, bo jakiś dziwny uśmiech pojawił się na jego bladej twarzy. Począł dolewać troskliwie Maciejowi, sam nic nie pijąc — to też nie trwało długo, a ten był pijany, jak bela.

A burza szalała. Drzewa leżały połamane po drogach, z niektórych chałup nawet dachy zerwało i poniosło w nieznane ciemności nocy.

— Szymonie... już czas do... domu — rzekł Maciej, wstając z chałasem od stołu.

— Już idziecie, Macieju? A no bywajcie zdrowi, ja jeszcze zostanę.

Chwiejnym, niepewnym krokiem wyszedł. Wiatr wpadł z chałasem do środka i o mało nie zgasił lampy, która poczęła się gwałtownie kołysać.

Szymon z oczyma dziwnie błyszczącemi, nacisnął czapkę na oczy, podniósł kołnierz futrzany i wyszedł.

— Nie zajdziesz ty daleko — rzekł Szymon, stojąc przed karczmą i patrząc za Maciejem, którego jeszcze cień było widać. Po pewnym czasie wolnym krokiem poszedł za nim.

Zataczając się, szedł Maciej ku swojemu domowi. Wiatr spychał go do rowu, rzucał o śnieg, ale znów się podniósł i szedł dalej, chociaż coraz wolniej, bo było mu jakoś gorąco i słabość go poczęła brać. Doszedł wreszcie na wzgórze, był tak słaby, że sobie usiadł na śniegu pod lipą, ażeby odpocząć. Jeszcze jeno kawałeczek ma do domu — odpocznie i pójdzie dalej... Przyszła mu na myśl jego Anielka, która go teraz napewno oczekuje z wieczerzą i martwi się o niego. Na te myśli uśmiech pojawił się na jego twarzy, chciał się podnieść i iść dalej, ale był tak słaby, że nie mógł. Jakoś ciepło poczęło mu się robić i tak wesoło na duszy, że zaśpiewał chrypliwym głosem:

Z góry zjedź, z góry zjedź,
Ku dolinie hamuj!
Ładną mos żoneczkę,
Szanujże ją, szanuj!
Oj dana!!!!

Wicher porwał ten głos i uniósł z jakąś dziką radością. Nogi mu dziwnie robiły się twarde i ciężały — nie uważał na to. Przypomniał sobie dzisiejszą sprzedaż koni, wyciągnął worek z pieniądzmi i chciał je policzyć, ale palce miał jak kołki, że wysypały się na śnieg. Spać mu się chciało i nic go nie obchodziło. Ktoś szedł drogą i patrzał na niego — nie zważał na to. Zdawało mu się, że widzi swą Anielkę, że płacze za nim, to znów, że jest lato, a on tylko w koszuli z włosem rozwianym orze swą ziemię-matkę... sieje... zbiera plony — aż w końcu wszystko znikło mu z przed oczu i nic już nie czuł i nie widział.

Po jakimś czasie ktoś podszedł do niego ostrożnie. Był to Szymon. Dotknął go — był już zimny. — Spojrzał na rozsypane pieniądze, zerwał rękawice z rąk i rzucił w bok, a wiatr porwał je i uniósł z dziką radością. Nie zważał na to, począł chciwie zbierać rozsypane pięciozłotówki.

Wicher bił w niego śniegiem, zasypywał mu oczy, mroził oddech; ręce poczęły się robić dziwnie twarde — nie zważał na to. Dla niego istniały tylko te srebrne pieniądze, które zbierał ze śmiechem w dłonie i przyglądał im się z radością. Przykupi sobie krówkę — myślał — dzieciom co kupi, a i sobie nie pożałuje. Bo któż to będzie wiedział: że opił Macieja, no i zabrał mu jego pieniądze?

Spojrzał na niego. Siedział nieruchomo i jakoś dziwnie i szyderczo mu się przyglądał. Strach go obleciał.

Chciał włożyć te pieniądze do kieszeni, lecz ręce miał dziwnie twarde i nie mógł ich wyprostować; chciał otworzyć dłonie, lecz te jakby zrosły się z temi pieniądzmi. Począł chuchać gorączkowo w dłonie — napróżno, rąk nie mógł otworzyć. Niepokój go ogarnął. Chciał się zerwać i uciec, lecz nie mógł, bo nogi stały się dziwnie sztywne.

— Jezus! marznę!

Przerażenie go opanowało. Nie mógł wstać... — Chciał rzucić te przeklęte pieniądze, lecz nie mógł ich wypuścić. Twarz mu się strasznie wykrzywiła. Spojrzał na Macieja, jakby od niego spodziewał się ratunku, lecz ten patrzał na niego groźnie i szyderczo.

Począł krzyczeć ochrypłym głosem: ratunku! — ale wiatr tłumił ten jego głos wśród tej strasznej zawieji. Czuł, że zbliża się śmierć, że od nóg coś się podnosi, coś go ściska coraz więcej.

— Macieju, ratujcie mnie. Ja wam oddam te pieniądze, ja nie chcę umierać...

Zdawało mu się, że słyszy jakiś głos straszny, bezlitosny.

— Zapóźno... musisz umrzeć... sam sobie zgotowałeś ten los.

Już tylko jęczał, czuł, że zasłużył sobie na ten straszny los. Patrzał jeszcze przed siebie, żali nie zbliża się ratunek.

W tem zauważył jakieś dwa cienie — wilki — jęknął z przerażenia i począł się modlić gorąco, bo wiedział, że już koniec jego życia się zbliża.

A wilki zbliżyły się do niego ostrożnie. Stanęły przed nim i zaczęły obwąchiwać jego twarz. Chciał się bronić, chciał krzyczeć, lecz tylko cichy jęk dobył się z jego piersi.

Za chwilę słychać było jakieś chrupanie. Ale wiatr zagłuszył swojemi dzikiemi gwizdami i jękami.

Michał Kempys.

Zwierzęta olbrzymy.



W poprzednich numerach „Roli“ podawaliśmy podobizny szkieletów zwierząt-olbrzymów, jakie żyły przed wiekami na naszej ziemi. Dziś zwierząt tych już niema, a jedynie, jako pamiątkę po nich, wykopują ich kości i to przeważnie porozrzucane, a dopiero uczeni badacze z cząstek tych składają całość, którą fotografują, a następnie w rysunku starają się uzupełnić ich zupełny wygląd.

Do takich zwierząt należy również mamut, który już wyginął zupełnie, a tylko szczątki jego odkopują tu i ówdzie. Na naszym obrazku u góry na prawo widzimy właśnie podobiznę takiego mamuta. — Było to zwierzę, należące do rodziny słonia, większe jednak od niego, bo dochodzące do kilku metrów długości. Uwłosienie mamuta było bardzo gęste, a na grzbiecie posiadał on grzywę, zaś w pysku dwa wystające siekacze wzwyż dwa metry długości. Siekacze te były w górę zakrzywione. Kości jego znajdują w Europie, Azji i Ameryce północnej. Na Syberji koło Niżnego Kołomysku znaleziono całego mamuta, zmarzniętego w lodzie.

U dołu na prawo widzimy drugiego potwora zwierzęcego. Jest to nosorożec, zwierzę nieparzystokopytne, potworne i ociężałe, długie na trzy i pół metra, wysokie na półtora metra, okryte bardzo grubą, nagą, na tarcze podzieloną skórą. U nóg ma po trzy palce, pokryte kopytami. Na nosie posiada jeden lub dwa, jeden za drugim osadzone rogi, pełne, włókniste, rogowe. Żyje w Azji i Afryce, a przebywa w okolicach bagnistych; jest trawożerny. Będąc gwałtownego usposobienia, staje się nieraz dla człowieka niebezpieczny. Polują nań dla mięsa, a szczególnie dla grubej skóry, która jest niespożyta.

Wreszcie pośrodku widzimy dwa olbrzymie potwory zwierzęce, osaczone przez gromadę psów. — Walka z nimi będzie ciężka i niebezpieczna, gdyż posiadają one broń znakomitą w postaci dwóch ostrych narośli, osadzonych na nosie. Nie uciekają, gdyż

ucieczka na nicby się im nie zdała, albowiem psy mogłyby ich skutecznie z tyłu zaatakować. Czekają na nieprzyjaciela, a gdy ten przyjdzie i chce rzucić się do ich gardła, nadstawiają mu swoje ostre dzidy i nabijają na nie, poczem już nieżywego lub wijącego się w boleściach napastnika, odrzucają na kilka i kilkanaście metrów od siebie. Ale i dla myśliwych zdobycz to niełatwa, gdyż grubej ich skóry nawet kula karabinowa nieraz przebić nie może, lecz ześlizguje się po niej i leci sobie swobodnie dalej.

Wkońcu po lewej stronie obrazka widzimy dwa zwierzęta morskie. Jedno z nich, wyglądające jakby bez głowy, wyszło na brzeg morski, drugie pluska się we wodzie, rozglądając się wokoło za jaką zdobyczą.



MACIEK BZDURA GADA:

Tego roku nie mogłem nijak spenetrować, kiedy były moje imieniny. Po inkse lata to bywały zawse 24 lutego, ale tego roku jakosik w niebie pokiełbasili, ze nijak się w tem nie mogłem wyznać. A nie wiedzieli tego i moja gospodyni. Powiadam jem we środę 24 lutego: „Gosposiu, zawse powiadacie, ze jesteście prawowita krześcijanka, to chyba wicie o tem, ze dzisiaj są moje imieniny, a bez to ja świętego mojego patrona obrazał nie będę i nie pójdę ani siecki rznąć, ani drzewa rąbać. Natomiast przydałoby się uccić go jakim świńskim ogonem, lub choćby kurzym owocem!“ — „Zdurniałeś do cna Maciuś! A naści kalendarz, wywal na niego gały i cytaj, co w tym roku przeniósł się święty Maciek z 24 na 25, a dzisiaj jest dzień przestępny!“ — „Przestępny? powiadacie, to cemu go nie zamknęli w Brześciu, ale wsadzili do kalendarza?“

Nazajutrz dopominam się o swoje prawa i o prawa świętego Macieja u gospodyni, a oni mi pokazują jakisik niksy kalendarz, w którym dychtyk jest wydurkowane, ze św. Macieja jest nie 25 ale 24. E, myślę sobie, jak tu ma być na świecie dobrze, kiedy nawet święci niebiescy kręcą raz tak, a raz tak.

Dość na tem, ze domowe moje imieniny posły na marne, to jest robota była w obydwa dni, a jedzenia w zaden.

Nie zapomniały o mnie jednak Cytelnicki „Roli“ i przysłały mi na obydwa dni tyle zyceniów, zebym ich nie porachował na palcach u wszyćkich moich ręców i u wszyćkich nogów. Panna Stasia Kulmówna z Dobcyc to wyrżnęła do mnie nawet takie ślicne wirstle, których naucyłem się napamięć, a które tak gadają:

Dobre rady dla Kochanego Maciusia na dzień Imienin:

Maćku! jeśli chcesz się żenić,
Słuchaj rady mej!
Nie bierz nigdy ładnej żonki
Do zagrody Twej!
Piękną buzię, piękną postać
Lubi każdy mąż,
Lecz jak szybko piękność mija,
Widzieć można wciąż!
Gorzej jeszcze wziąć uczoną!
(Śmiało mi to wierz),
Co stu mówi językami,
Skrycie pisze wiersz!
Wszystkie książki chciwie czyta,
Kucharskiej ni tknie!
Weźmiesz sobie taką żonę,
To żałuję Cię!
Zawsze racja po jej stronie,
Gdera, krzyczy, klnie!
Pod pantofel się dostaniesz
I wyśmieją Cię!
O, najlepsza taka pono,
Co dzieląc Twój los,
Z drogi cnoty, obowiązku
Nie zboczy na włos!
Co otacza Cię miłością,
Z Tobą marzy, śni,
Dzieli każdą troskę Twoją
Aż do końca dni!
Gdy, Maciusiu, zechcesz szczęścia,
Z tą się tylko wiąż,
Co serduszko ma gorące,
A jej światem Maciuś-mąż!...

Ładne pisanie i prawdziwe, ale... bo cóz bez ale na tym świecie? Po pirse, niech mi panna Stasia znajdzie na świecie taką dzieuchę, która powiedziałaby, ze jest brzyćka. Niechby ona była brzydsiejsa nawet od małupy afrykańskiej, to jej się widzi, ze Wenus z Mikuliniec mogłaby jej krowom wodę nosić. A kuzda z tych pięknych, piękniejsych i najpiękniejsych cięgiem ino myśli, jakby się jesce upiększyć i z lusterka prawie nie wyłazi. I niechze mi panna Stasia znajdzie taką brzyćką, cobym się z nią obzenił.

Abo i z tą mądrością! Tez jest nie inacej. Są mądre, mądrzejse i najmądrzejse, ale nima takiej, któraby się przyznała, ze jest głuptaskiem, jakiego świat i koruna polska nie widziała. A mozeby taka i dobra była, bo powiada panna Stasia, zebym się jej dostał pod pantofel, a jakbym się dostał pod pantofel, tobym se tam siedział spokojniuśko i nie musiałbym w polu charować i za nicem się ubijać. Najgorzejby było, jakby taka ucona zona nie miała pantofli, ino chodziła boso!

Bez to zdaje mi się, ze mimo odstrasania mnie od mądrej zony, jabym se juz taką wybrał, byle ino miała pantofle miękie, tobym se tam pod niemi siedział spokojnie. I jezeli która z mądrych dzieuch ma takie pantofle, to niech przyśle do oglądnięcia, a potem reśtę jakoś się tam zrobi.



Krakowiaczek.

Choć z drzewa mam domek,
Nie dbam o pałace —
Ubogim się rodził
Nic na tem nie tracę!

Duża woda płynie,
A mały młyn miele —
Nie każdy szczęśliwy,
Co posiada wiele!...

Ubogi ja jestem —
Mam w odzieży łaty,
Lecz serce poczciwe
Więc jestem bogaty!

Pragnę spokojności —
Ale nie majątku,
Będę ja szczęśliwy
I w małym zakątku!...

Stanisław Jucha.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Joruba III.

Przeciętny śmiertelnik wyobraża sobie, że kraje, w których mieszkają napół dzicy murzyni, są jakiemiś pustaciami, a może kniejami, w których żyją ludzie tak, jak czynią to leśne zwierzęta. A tymczasem tak nie jest, o czem można się było przekonać z naszych dotychczasowych opisów. I murzyni posiadają swoje wioski i miasta, z których niejedne nie ustępują w piękności swej miastom ludzi cywilizowanych. Ale też są i miasta w niczem do miast naszych nie podobne, a mimo to posiadające swój odrębny urok.



„Wskrzeszenie" umarłej.

Do takich miast należy miasto Ibadan w Jorubie. Posiada ono dziko romantyczny urok. Leży ono na trzech wzgórzach, zupełnie z drzew ogołoconych. Na nich spoczywa tysiące chat, tak ściśniętych, że trudno pomiędzy nimi się przecisnąć. Miasto posiada trzy olbrzymie place, otoczone ze wszystkich stron gęsto domami. Poza miastem wznoszą się oprócz tego liczne domki na stokach skał, podobne do gniazd orłów, poprzyczepiane do dzikiej, niedostępnej skały.

Zresztą ta dzika romantyczność charakteryzuje mieszkańców miasta Ibadan, głównem bowiem ich zajęciem jest tylko rabunek i wojna z sąsiedniemi plemionami.

Ciekawie wygląda Ibadan po powrocie swych mieszkańców z wyprawy rozbójniczej. Każdej nocy można wówczas słyszeć tam straszny hałas; to pozostali przy życiu opłakują walecznych umarłych, którzy padli pod razami nieprzyjaciela. Narzeczone, wdowy, sieroty jęczą, krzyczą i zawodzą żałosne śpiewy nad drogimi nieboszczykami. Przeważnie jest to tylko czcza formalność. Zwyczaj każe płakać i lamentować, więc lamentują, mniejsza o to, czy szczerze.

Lud mniema, że gdyby Egun nie strzegł miasta, byłoby ono dawno zniszczone. Egun jest to naczelny stróż i wykonawca policji, który nie oszczędza nikogo, chłoszcze publicznie, a nawet nie szczędzi wyroków śmierci. W mniemaniu ludności jest on duszą umarłych, która się objawia i działa pod maską żywego człowieka.

Zresztą nierzadko pojawiają się tam pod postacią żywych dusze nieboszczyków. A dzieje się to w ten sposób: oto jakaś stara babina udaje nieżywą. Wynoszą ją do świętego lasku i czekają nocy. Gdy noc nadejdzie, rodzina, krewni, przyjaciele i ciekawi udają się przed święty lasek. Bębny uderzają, nadchodzi uroczysta godzina. Przywoływacz duchów rozpoczyna wywoływanie. Powtarza on je kilkakrotnie, póki z lasku nie odezwie się głos „zmarłej". Gdy usłyszą go zebrani, wydają radosny okrzyk, poczem „wskrzeszona" ukazuje się uradowanym tłumom. Na przywitanie jej biegną najbliżsi krewni. Przedewszystkiem niosą jej w podarku naczynia kuchenne. „Wskrzeszona" ociera z suchych ócz łzy wzruszenia. Następuje składanie podarków, które były właściwie powodem rzekomej śmierci i rzekomego wskrzeszenia. Zwykle „wskrzeszona" puszcza się w tany, a następnie okryta całunem i objuczona podarkami wraca do chaty rodzinnej.

Scenę powitania takiej „wskrzeszonej" widzimy na naszym pierwszym obrazku.

„Wskrzeszenia" takie są możliwe u ciemnych murzynów, gdyż kara śmierci czeka każdego, ktoby śmiał wątpić w prawdziwość owego cudu.

Wiara w czary i gusła jest wśród murzynów bardzo rozpowszechniona. Czarnoksiężnik w mniemaniu ciemnego ludu posiada niemal boską moc. Leczy i uzdrawia, a zawsze ze skutkiem, to znaczy wówczas gdy chory i bez jego pomocy byłby wyzdrowiał. Jeżeli chory umiera, wówczas oznajmia poprostu, iż wolą bogów było, aby umarł, a on woli bogów sprzeciwiać się nie może. Przy każdym „cudzie", który mu się nie powiedzie, ma tysiące racyj na wytłómaczenie owego niepowodzenia tak, że lud wierzy niezłomnie w jego wielką potęgę.

Na drugim naszym obrazku widzimy właśnie ta-



Wyrok czarnoksiężnika.

kiego czarnoksiężnika, przed którym klęczy jakaś niewiasta. Zachorowało jej dziecię, więc poszła błagać czarnoksiężnika, aby je uzdrowił. Ten „pogadał" z bogami i właśnie oznajmia uradowanej matce, że dziecię jej nie umrze. Nie umrze, to sława jego jeszcze się spotęguje, a umrze, to oznajmi, iż dlatego dziecię umarło, gdyż wiara matki w cud była zbyt mała. Na każdy wypadek czarnoksiężnik ma już z góry przygotowany wykręt.

(Ciąg dalszy nastąpi).



(Ciąg dalszy). (Przedruk wzbroniony).

Kamerdyner powrócił, prosząc go.

Wszedł śmiało do obszernej sypialni, oświetlonej rzęsiście przez wpadające promienie słońca.

I znów spotkała go niespodzianka. Pierwszą osobą, którą zobaczył, była topielica z Myślenic lub jej sobowtór. Ubrana według najnowszej mody — w ciemne szaty, stała u nóg łóżka, z poważnym, przystojnym panem, w którym domyślił się hrabiego. Gdy jednak podszedł i rozeznał na twarzy zmarszczki i włosy przyprószone siwizną — zrozumiał, że była to hrabina — matka chorej.

Właściwego sobowtóra topielicy zobaczył w obszernem łóżku.

— Zatem mam do czynienia z niejednym, ale dwoma sobowtórami tej zagadkowej istoty, a nawet trzema — jeśli wezmę pod uwagę córkę Malczyka? — przyszło mu na myśl.

Powitał hrabiostwo, a potem zwrócił się do hrabianki. Uderzyło go, iż na jego widok na twarzy chorej pojawiło się silne skupienie myśli, następnie przebiegł nieznaczny uśmiech smutku. Za chwilę jednak rozjaśniła się. Wyciągnęła do niego przerażająco bladą rękę i wypowiedziała po francusku dziwne powitanie:

— Wydaje mi się, jakobym pana już znała. Wiem, że nie osobiście. Odnoszę wrażenie, jakby pan drogim mi był i bliskim.

Obdarzyła go przytem nowym, jak przez łzy, uśmiechem.

Dało mu to wiele do myślenia, sam bowiem podobnego doznał uczucia. Potwierdził, że sam jest zaskoczony jakiemś podobieństwem do znanej mu osoby. Słowa swoje przyrzekł później wyjaśnić.

— Gotowiście państwo przypomnieć sobie, iż spotkaliście się gdzieś w Paryżu — wtrącił hrabia.

— Nie. Nie — zaprzeczyła. — Nie mogę sobie narazie wytłumaczyć wrażenia.

Hrabia poprosił Brutanka do zajęcia miejsca. Przekonany, że będą określać chorobę hrabianki, postanowił tak manewrować rozmową, by nie poznali, jaki był cel jego przybycia.

Hrabia Radwanyi przytoczył przedewszystkiem diagnozy dotychczasowych znakomitości, zaznaczając, że chorobę córki uznali za nieuleczalną i wogóle niezbadaną.

— Żaden z lekarzy nie może objaśnić, gdzie znajduje się właściwe źródło choroby. Jak pan doktor widzi, organizm jej z dnia na dzień wycieńcza się coraz więcej. Najsłynniejszy budapeszteński lekarz wyraził przypuszczenie, iż przyczyna choroby leży w nienaturalnych zjawiskach metapsychicznych.

— Gdyby mógł wierzyć w „wampiry", to w tym wypadku wycieńczenie córki mógłby ich działaniu przypisać. Podobną diagnozę postawił lekarz uniwersytetu wiedeńskiego.

Gdy Brutanek usłyszał jego nazwisko, przypomniał sobie, iż pod. jego kierownictwem odbywał praktykę lekarską i już znalazł punkt wyjścia z niejasnej sytuacji.

— Za wszelką cenę chcielibyśmy uratować jedynaczkę i gdyby się znalazł lekarz, któryby potrafił utrzymać ją przy życiu — wdzięczność nasza nie miałaby wówczas granic; nie mówiąc już o samem wynagrodzeniu — ciągnął hrabia.

W czasie tego opowiadania zobaczył Brutanek w oczach obojga, napełnionych łzami, głębię miłości dla ukochanego dziecka.

— Gdy tylko posłyszymy o zdolnym lekarzu — mówił jeszcze — sprowadzamy go zaraz w nadziei, że może znajdzie drogę ratunku. Z ochotą skorzystamy też z pańskiej rady, która może będzie zbawienną. Wszyscy bowiem opuścili ją — skończył smutno.

— Najciekawszem jednak jest, iż pomimo ogólnego wycieńczenia, Marta posiada doskonały apetyt — wtrąciła hrabina dla rozproszenia nastroju. Wprawdzie lekarze stosują stale diety, nie pozwalając jeść w stopniu, w jakim pragnie.

— Przeciwnie — wyrwało się mimowoli z ust Brutanka — pozwólcie jej państwo najeść się do syta najpożywniejszych potraw.

Sam nie zdawał sobie sprawy, dlaczego wyrzekł te słowa, czuł jakiś wewnętrzny nakaz, zrodzony pod wpływem opowiadania hrabiego. Nastąpiło u niego dziwne skojarzenie zdarzeń w Myślenicach i odruchowo zdradził swoje myśli.

— Tak pan mówi? — wyrzekli z radością.

Słowa Brutanka napełniły ich nadzieją.

— Widzi papa — odezwała się córka — miałam rację, prosząc, by nie zważać na przepisy lekarzy. Brak pożywienia przyspieszył moje wycieńczenie.

— Skąd jednak dowiedział się pan doktor o chorobie naszej córki? — zapytał hrabia.

Postanowił nie przyznać się do właściwego powodu przybycia, widząc, iż na zły ślad natrafił. Równocześnie miał nieokreślone przeczucie, że zdoła ją uratować i odsłonić rąbek tajemnicy.

— Jestem — począł wyjaśniać — asystentem profesora uniwersytetu paryskiego. Profesor uniwersytetu wiedeńskiego, który badał pańską córkę — żyje w wielkiej przyjaźni z moim szefem. W jednym z listów wspomniał o dziwnym wypadku choroby skonstatowanej u hrabianki. Nic więc dziwnego, że objawy tejże zaciekawiły go. Wysłał mię przeto, bym się naocznie przekonał, a w razie potrzeby doniósł o swoich spostrzeżeniach. Czy państwo pozwolą przystąpić mi do badania?

Gdy odkryto chorą, uderzyła go prócz podobieństwa ta sama budowa ciała, co u topielicy w Myślenicach, ten sam wdzięk, oczy i wyraz twarzy. Sama nadto hrabianka spotęgowała wywołane wrażenie powtórzeniem poprzednich słów, wyrzeczonych na powitanie:

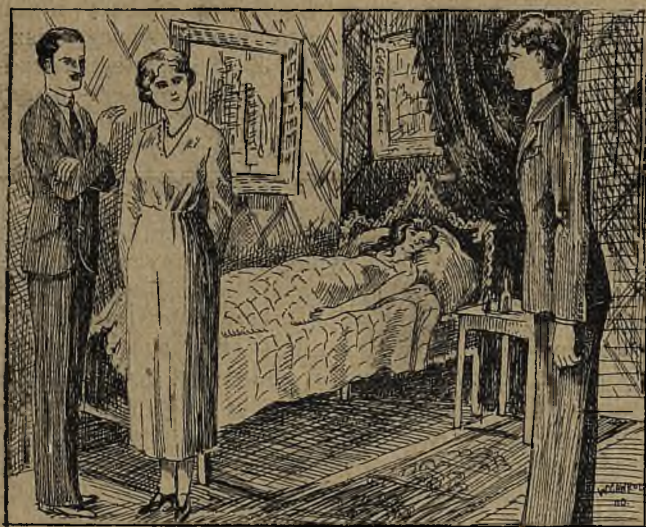
— Obecność pańska zdaje mi się nasuwać jakiś inny, a jednak podobny obraz.

— Stanowczo musi tu istnieć łączność ze zmarłą — zadecydował w myśli, a na usprawiedliwienie słów, wyrzeczonych przy powitaniu, odpowiedział:

— I ja też panią znam z dzienników. Czytałem w jednym z pism paryskich, iż Londyn rozbija się za panią. Opuściła pani bowiem teatr zupełnie niespodziewanie. Nie przypuszczają, że pani leży poważnie chora.

Wyrzekłszy te słowa, spojrzał na obecnych, zobaczył trzy twarze zdziwione, szybkie porozumiewanie oczyma, a nawet odblaski gniewu na twarzy hrabiny.

Ojciec wyręczył córkę w odpowiedzi.



Pierwszą osobą, którą zobaczył, była topielica z Myślenic.

— Rzeczywiście w zmartwieniu zapomnieliśmy zawiadomić dyrekcję teatru o chorobie córki. Jutro to zaraz uczynimy.

— Ja zaś mogę państwu dostarczyć dzienników, opisujących wypadek. Uderzony nazwiskiem artystki, zgadzającem się z otrzymanym adresem, zabrałem je ze sobą.

— Prosimy o nie — odezwała się hrabianka, a ojciec jej przytaknął — matka natomiast, najwyraźniej niezadowolona, milczała.

W toku rozmowy Brutanek przystąpił do gruntownego badania. Kiedy chorą całkowicie rozebrano, przekonał się, że ciało jej było dziwnie wycieńczone. Wprawdzie nie straciło tuszy, lecz przerażało białością z wyraźnemi linjami niebieskich żył. Robiło wrażenie, jakby ktoś z niego powoli krew wysysał.

— Słuszną postawił diagnozę budapeszteński profesor — pomyślał. Można rzeczywiście przypuszczać, że upiorny wampir wyczerpuje krew z młodego, cudnego ciała dziewczyny.

Zastanowiło go, iż chora mimo całkowitego obnażenia, podciągnąwszy pościel, zakrywała nią lewą pierś i stanowczo jej odsłonić nie chciała, mimo tłumaczeń o konieczności należytego zbadania serca, czego nie mógł uczynić z powodu przeszkody. Z uśmiechem wprawdzie, ale uparcie, odmawiała.

Mimo najskrupulatniejszych badań, nie znalazł, jak i jego poprzednicy, źródła choroby. Życie musiało z niej ulecieć, o ile nie zastosuje radykalnego środka. Z wyjątkiem serca i płuc, które miała zapewne zmniejszone jak i topielica, wszystkie inne organy funkcjonowały zupełnie normalnie.

W czasie dalszych obserwacyj zapytał hrabiankę niespodziewanie:

— Czy ma pani siostrę, podobną do siebie?

Spodziewał się, że ją zaskoczy tem, lecz ku zdziwieniu, bez wahania, odpowiedziała stanowczem:

— Nie!

Zauważył jednak, że pomimo zaprzeczenia, porozumiała się znowu oczyma z rodzicami. Skończył wreszcie badanie i do oczekujących wyroku wyrzekł:

— Dzisiaj nie mogę znaleźć źródła choroby, ale mam nadzieję, że je odkryję... a wtedy obmyślę sposób ratunku.

Łuna radości przebiegła po twarzach hrabiostwa. Inaczej natomiast zachowała się hrabianka. Pewność, jaką Brutanek okazał, wywołała u niej zdziwienie.

— Pragnąłbym wiedzieć, kiedy i jak powstała choroba — rozpoczął indagację, gdy ucieszeni chcieli przystąpić do zapewnień o wdzięczności.

— Możemy pana dokładnie poinformować. Dzień, w którym zachorowała, dotąd stoi nam żywo w pamięci. Otóż 15 maja nocą nawiedził ją niezwykły i niczem nie uzasadniony napad płaczu — rozpoczął hrabia. — Zawodziła żałośnie niemal do rana... Pytana przez nas kilkakrotnie o powód, nie umiała go podać. Sama go bowiem nie znała. Nie pomagały żadne perswazje, ni środki uspokajające. Lekarz domowy wezwany, widział się również bezradnym. Sprowadziliśmy wkońcu naszą kapelę zamkową i kazaliśmy grać. Wiedząc, iż córka była wrażliwą na dźwięki muzyki, spodziewaliśmy się tym sposobem przeciwdziałać niezwykłej żałości. Przez godzinę grali najpierw rzewne, później coraz weselsze utwory. Nad ranem uspokoiła się zupełnie. Cały następny dzień odnosiła wrażenie, jakoby otaczała ją mgła. Od tego czasu nie wstaje z łóżka. Odniosła jednak korzyść z tej choroby. Na twarzy jej zagościł wprawdzie rzewny, ale w każdym razie uśmiech. A musi pan wiedzieć, że dziecię to od urodzenia nie znało radości i nie umiało się śmiać. Rankiem następnego dnia ustąpiło wrażenie mglistości. Czwartej doby cierpiała bardzo, jakby ją krajano i wyrywano wnętrzności. W nocy dusiła się formalnie z braku powietrza, mówiąc, że otoczyła ją ciemność. Nikogo nie widziała i obawialiśmy się, że utraciła wzrok. Nad ranem uspokoiła się trochę, lecz za parę godzin powtórzył się ten sam stan i trwał bez przerwy do następnego dnia. Odtąd jest cichą, nie odczuwa cierpień — tylko coraz więcej traci siły żywotne.

Brutanek słuchał w skupieniu. Gdy usłyszał datę 15 maja, która była dniem przypuszczalnej śmierci nieznajomej w nurtach Raby, doszedł do wniosku, że choroba hrabianki musiała mieć z nią łączność. Przypuszczenie potwierdzał przebieg choroby, będący odzwierciedleniem przejść ciała utopionej.

Zastanawiało go jedynie stanowcze zaprzeczenie hrabianki, gdy pytał, czy miała siostrę i zbijało z tropu. Z drugiej zaś strony postępowanie rodziców, wymiana spojrzeń w chwili zadania pytania, wydały mu się wielce zagadkowemi. Początkowo miał zamiar opowiedzieć im o topielicy z Myślenic, o owej dziwnej łączności wypadków, ale widząc ich skrytość i nieszczerość, zaniechał tego. Doszedł do przekonania, że musieli mieć ważny powód do zachowania tajemnicy. Nie chciał okazać się natrętnym, natomiast postanowił za wszelką cenę zbadać sprawę, a później wyłuszczyć przypuszczenia. Po dłuższej rozmowie hrabiostwo zaprosili go na podwieczorek. Nie odmówił, ale po spożyciu, począł się żegnać.

— Gdzież pan doktor zamierza odejść? — pytali zdziwieni.

— Mieszkam w hotelu w Debreczynie — wyjaśnił uprzejmie — i tam chciałbym powrócić. Jutro znowu pozwolę sobie złożyć państwu wizytę.

— Na co pan doktor ma się narażać na zbędne wydatki? — sprzeciwili się. — Prosimy przyjąć u nas gościnę. Cały szereg pokoi w obszernym zamku stoi do dyspozycji. Przytem i konieczność tego wymaga, by pan doktor stale u nas zamieszkał i miał w ciągłej obserwacji córkę.

— Wystarczy mi jeden pokój — odparł. — Z chęcią skorzystam z gościnności państwa, lecz muszę przywieźć swoje bagaże.

— I to jest zbędne! Proszę dać tylko pisemne polecenie do zarządu hotelu, a służba wszystko załatwi.

Za godzinę miał swoje rzeczy wniesione do bogato umeblowanego mieszkania. Znalazłszy się w jednym z kilku pokoi, które wbrew woli mu przeznaczono, podszedł do okna, skąd roztaczał się obszerny widok. Widział wszędzie równiny, urozmaicone tylko kępami drzew i wioskami.

— Niema to jak nasze ukochane góry — westchnął.

Zachodzące słońce rzucało krwawe blaski na okolicę.

Nocą nawiedził go dziwny sen. Zjawiła się topielica z Myślenic i wskazując na swoją krwawą bliznę, przypomniała mu scenę podczas badania hrabianki, kiedy ta uporczywie zasłaniała lewą pierś. Z piersi topielicy oderwały się potem wytatuowane litery, powiększając się coraz bardziej. W końcu rozplotły się nasuwając najwyraźniej przed oczy znane mu rozwiązanie zagadki. Sen ten był najwyraźniejszą wskazówką i przypomnieniem spodziewanego szczęścia. Nic też dziwnego, że po obudzeniu się długo był pod jego wrażeniem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jerzy Waszyngton.

Dnia 20 lutego b. r. minęło lat dwieście od chwili przyjścia na świat wielkiego Amerykanina, Jerzego Waszyngtona. Rok 1932 będzie nieprzerwanym ciągiem uroczystych obchodów w Stanach Zjednoczonych ku czci tego pierwszego wodza, a następnie pierwszego prezydenta amerykańskiego narodu. — Obchody te i uroczystości już się rozpoczęły 20 lutego i potrwają do 24 listopada, a przewodniczy w nich obecny prezydent Hoover. Dlatego też warto chwilę zastanowić się, przypomnieć sobie nieco szczegółów o Waszyngtonie i jego narodzie, bo tam tylu naszych żyje braci, bo wolność narodu amerykańskiego nie była obojętną dla najlepszych synów Polski.

Każdy Polak o tem pamięta i dumny jest z tego, że przy boku tego wielkiego Waszyngtona, walczyli tacy nasi bohaterowie, jak naczelnik Narodu, Tadeusz Kościuszko, generał Kazimierz Pułaski, który nawet wolności amerykańskiej życie złożył w ofierze, Kniaziewicz i inni. Braterstwo broni polsko-amerykańskie zawarte w najcięższych dla Amerykanów chwilach w latach 1773—1783, powtórzyło się w pamiętnym roku 1918 na polach francuskich, gdzie wspólnie z wojskami koalicyjnemi gromili nieprzyjacielskie armje niemieckie, wykuwając wolność naszej Ojczyzny.

Stany Zjednoczone uczciły naszego wspólnego bohatera Pułaskiego, również wydaniem znaczków pocztowych z jego podobizną, które obiegły świat cały, budząc zainteresowanie się tym synem Polski i bohaterem dwóch światów, starego i nowego. Obecnie rząd nasz postanowił uczcić pamięć Waszyngtona znaczkami pocztowemi z jego podobizną, a po jego bokach mają być umieszczone podobizny Kościuszki i Pułaskiego. A czyż potrzeba wspominać, ile Polska zawdzięcza prezydentowi W. Wilsonowi w sprawie odzyskania wolności i obecnych swych granic?

Z tego krótkiego wstępu już wiemy, że Jerzy Waszyngton urodził się 20 lutego 1732 r. w hrabstwie Westmoreland, w Wirginji. Ojciec Jerzego był rolnikiem-plantatorem, sam Jerzy był początkowo geometrą, następnie poświęcił się rolnictwu, był zamiłowanym myśliwym i wywiadowcą, walczył z Indjanami, brał udział jako ochotnik w wojnie kanadyjskiej. Po wybuchu zatargu, a następnie wojny między kolonją angielską, czyli dzisiejszemi Stanami Zjednoczonemi a Anglją, wola współobywateli powołała go na najwyższe stanowisko naczelnego wodza wojsk amerykańskich, a po szczęśliwie dla Amerykanów zakończonej wojnie, na pierwszego prezydenta Stanów. Lecz Waszyngton godny był tych najwyższych godności. Wojskowego fachowego wykształcenia nie posiadał, lecz wielkie zalety ducha wrodzone mu, jak zimna krew w najgroźniejszem położeniu, żelazna wola, niczem się niezrażająca, czyniły go wielkim, opatrznościowym wodzem Amerykanów. A jego cnoty moralne, jak umiłowanie wolności, bezinteresowność dla własnych, osobistych spraw, zupełne poświęcenie się idei walki o wolność, dobra społecznego, może nawet przewyższały jego zdolności wodza. Nic też dziwnego, że Waszyngton pozyskał sobie ogólną cześć, miłość współobywateli tak w czasie toczącej się wojny, jak później w okresie utrwalania państwowości.

Waszyngton niechętnie przyjął ofiarowaną godność naczelnego wodza, prawie dyktatora, a zarazem ciężki obowiązek wobec własnego narodu, lecz przyjąwszy, szybko zreorganizował szczupłą, bo nigdy nie przewyższającą 16.000 ludzi i źle uzbrojoną armję do walki z przemożnym wrogiem, z Anglją. Waszyngton ponosił klęski i odnosił zwycięstwa, nie zamierzam tutaj podawać licznie stoczonych walk, dość powiedzieć, że wojna o wolność kosztowała Stany Zjednoczone 70.000 ludzi i około 135 miljonów dolarów, a ludność Stanów Zjednoczonych w chwili zawierania pokoju paryskiego w r. 1783 liczyła tylko 1,300.000 ludzi, dzisiaj zaś liczą Stany Zjednoczone okrągło 124,800.000 ludności.

Rozrost terytorjalny Stanów Zjednoczonych przedstawia ich gwiaździsta flaga. W r. 1777 kongres amerykański ustanowił, że flaga 13 Zjednoczonych Stanów ma się składać z 13 pasów czerwonych i białych i 13 gwiazd białych na niebieskiem polu. Pierwszą taką flagę państwową wciągnął na maszt Jerzy Waszyngton. Od r. 1912 flaga Stanów Zjednoczonych posiada 48 gwiazd, bo tyle liczą właśnie Stanów, pasów zaś nadal pozostało 13 na pamiątkę, że tyle najpierw Stanów się połączyło do walki o wolność pod dowództwem Jerzego Waszyngtona. Waszyngton umarł 1799 r. w Mount-Vernon.

Jan Pelczar.



Poradnik gospodarczy.

(Dokończenie).

Poprawianie zaniedbanych sadów.

Niebyśmy nie pomogli drzewom, a przynajmniej nie wiele, gdybyśmy chcieli poprzestać na tych robotach, o jakich była mowa wyżej. Po zrobieniu tego wszystkiego, drzewa wprawdzie wyglądałyby raźniej, nie miałyby wyglądu zaniedbanych, ale nie rosłyby one z nową siłą, nie wiele lepiej owocowałyby. Doraźną i skuteczną pomoc przynieść możemy drzewu, gdy opieką otoczymy też i korzenie jego. Korzenie są najważniejszą częścią drzewa, prawie dzięki im tylko drzewa rosną i owocować są zdolne. Korzenie, znajdujące się w ziemi, usilnie pracują, ażeby wydobyć z niej pokarmy właściwe i potrzebne drzewu, i aby je dostarczać w dostatecznej ilości. Praca korzeni jest wielka, a o ile ta praca ułatwioną jest przez warunki sprzyjające jej, o tyle korzenie dzielniej i skuteczniej pracować mogą. Warunkami takiemi, sprzyjającemi pracy korzeni, są przedewszystkiem: dostateczna ilość łatwo przyswajalnych pokarmów w ziemi, łatwy dostęp powietrza i dostatek wody. Drzewom zaniedbanym brak tego. Pokarmy, jakie były w pobliżu korzeni, zostały wyczerpane; wilgoć, na gruntach szczególniej łatwo wysychających — wyciągnęły trawy i chwasty, rosnące pod drzewami; te same chwasty zadarniły ziemię i utrudniają przenikanie w głąb powietrza i wody. Do pracy więc jeszcze dajmy korzeniom czego potrzeba, przyczyńmy się do wytworzenia tych warunków, jakie im pracę ułatwiają, poprawiajmy sad zaniedbany dokładnie i zupełnie.

Wyniszczyć więc trzeba chwasty i trawy, wzruszyć i spulchnić ziemię, aby woda i powietrze dostawały się w głąb, a potem obficie zasilić. Jak to zrobić? Poruszyć i spulchnić ziemię pod drzewami możemy pługiem lub łopatą, robiąc to rozumie się ostrożnie, ażeby nie pokaleczyć płytko znajdujących się korzeni; zasilić zaś możemy nawozami płynnemi lub stałemi, dając je tam, gdzie są korzenie. Zresztą o tem obszerniej. Żeby nawóz dany drzewu mógł skutkować, musi on być umieszczony tam, gdzie są korzenie drzewa, a przytem takie, które są zdolne czerpać pokarmy. Korzenie, przeznaczone do pobierania pokarmów, są drobniutkie jak włoski i znajdują się u drzew przeważnie w pewnej odległości od pnia, mianowicie tak daleko, jak daleko sięga obszar korony. Tu zatem nawozy dawać należy. Źle robią ci, którzy, chcąc zasilić drzewo, kładą nawóz przy pniu. Nawozy rozmaicie drzewu dawane być mogą, można np. wykopać rów naokoło drzewa naprzeciw zakończeń korony, tak głęboki, żeby do korzeni sięgał, w rów ten nalać gnojówki lub odchodów ludzkich dobrze rozcieńczonych wodą i po wsiąknięciu rów zasypać. Dobrze jest, jeżeli do używanej gnojówki lub odchodów dodaje się popiołu drzewnego i wapna. Kto nie ma gnojówek, może w rów nasypać dobrego kompostu lub przetrawionych nawozów, zalać je wodą i ziemią przykryć. Gnojówki lepiej i prędzej działają aniżeli nawozy stałe. Zamiast kopania rowów, można robić dziury drągiem żelaznym po 8 do 12 pod korą w wiadomej odległości od pnia i w otwory te nalewać gnojówkę. Dobry to jest sposób, nie tak jednak zalecenia godny, jak poprzedni. Zasilać drzewa można w ciągu całego roku; w miesiącach jednak od sierpnia (końca) do listopada lepiej się z zasilaniem powstrzymać, a to w tym celu, by pozwolić gałązkom stężeć — zdrzewnieć, co nie mogłoby mieć miejsca, gdyby drzewa wskutek zasilenia bujnie wciąż aż do mrozów rosły.

Oto i wszystko, co zrobić powinniśmy, chcąc poprawić sad, przynajmniej są to najważniejsze roboty, jakich dokonać należy. Miejsca opróżnione przez wyrąbanie drzew, nie wartych opieki, zająć można młodemi drzewkami, posadzonemi w doły obszerne i sowicie zaprawione nawozami. Przy dosadzaniu drzewek pamiętać trzeba, żeby nie sadzić drzew tego samego gatunku w miejsca dawniej przez nie zajęte, sadzimy więc jabłonie np. po wiśniach, śliwy po gruszach i t. p. Ziemię pod drzewami, o ile drzewa zbytnio nie cieniują, zajmujemy pod uprawę warzyw lub wogóle roślin, których korzenie nie głęboko sięgają, albo też zasiewamy łubinem, wyką na paszę lub przyoranie. Można zasiać także mięszankę z traw pastewnych, dobrze jednak w tym wypadku pozostawić pod drzewami szerokie talerze, utrzymywane ciągle w czystym i pulchnym stanie.

Tak odświeżone drzewa po roku, po dwóch, zaczynają pięknie owocować, przytem owoce są bez porównania lepiej rozwinięte i smaczniejsze.

Kto po przeczytaniu tych wskazówek zastosuje je u siebie i nie pożałuje pracy, jakiej wymaga takie gruntowne poprawienie sadu, ten niechaj pamięta, że niedość jest raz to wszystko zrobić, a potem cieszyć się wynikami tej pracy. Drzewa owocowe potrzebują ciągłej opieki. Corocznie potrzeba oczyszczać pnie i bielić je, ciągle trzeba niszczyć owady; co dwa lata przynajmniej przeglądać korony i wycinać z nich ukazujące się niepotrzebne gałązki. Korona nigdy nie powinna być zbyt gęstą. Jeżeli drzewa silnie owocują, a przyrost gałązek jest mały, powinniśmy też od czasu do czasu, a więc co 2—3 lata, drzewa podmierzwić. Tak opiekując się drzewami, dopiero będziemy mogli cieszyć się zdrowiem ich, plonami, jakie nam przynoszą, oraz nie będziemy zmuszeni poprawiać sadów „zaniedbanych", jakich, niestety, w kraju naszym niemało jeszcze mamy.

H. Dzięgielewski.

Praktyczne rady.

Jak zużytkować odpadki. Małe kawałki mydła toaletowego, których już w ręku utrzymać nie można, zbiera się do woreczka sporządzonego z kawałka grubego tiulu (woreczek zrobiony robotą szydełkową nadaje się do tego celu).

Po jakimś czasie, kiedy woreczek jest już prawie pełny, zaszywa się go i używa jak mydła. Szczególnie do myścia dzieci w kąpieli nadaje się znakomicie, gdyż łatwiejszym jest do trzymania w ręce od śliskiego mydła, które tak łatwo z ręki się wymyka, że trzeba je dopiero łowić w wodzie. Woreczek taki nadaje się też do mycia rąk w kuchni i zastępuje w pewnej mierze szczoteczkę.

Z kawałka trzcinki można sobie sporządzić doskonałą szczoteczkę do mycia flaszek. Półmetrowy kawałek trzcinki, obłupujemy z twardej kory do 5 cm. z góry, poczem rozbijamy kawałek ten zapomocą młotka, obracając trzcinę w ręce tak długo, aż

się trzcinka rozstrzępi na poszczególne włókna, tworząc ostry pendzel.

Po zużyciu tego pendzla obcina się go z resztek nożyczkami i postępuje z dalszym pięcio-centymetrowym kawałkiem jak wyżej podano, tworząc nową szczoteczkę.

KRONIKA.

Nieporządki w sądach. Kogo spotka to nieszczęście, że musi zjawić się w sądzie, czy to jako świadek, czy oskarżyciel, lub oskarżony, ten bywa narażony na kilkugodzinne wyczekiwanie w zimnym i brudnym korytarzu na swą kolejkę. A dzieje się to dlatego, że w większości wypadków sądy nie cenią czasu ludzkiego, ale narażają ludność na jego stratę najniepotrzebniej. Bo oto interesant dostaje wezwanie na oznaczoną godzinę. Przychodzi punktualnie i dowiaduje się ze zdziwieniem, że przed rozprawą, na którą on został wezwany, odbędzie się jeszcze kilka rozpraw. I nierzadko zdarza się, że ktoś otrzymawszy wezwanie n. p. na godzinę dziewiątą, dostaje się przed oblicze sędziego dopiero o godzinie dwunastej i później. Jest to daremna strata czasu, której przy dobrej woli naszych sędziów możnaby łatwo zapobiec. Ale, zdaje się, właśnie tej dobrej woli brak w niektórych naszych sądach.

Uchwalenie ustawy o ustroju szkolnictwa. Na posiedzeniu Sejmu w dniu 26 lutego b. r. została uchwalona w trzeciem czytaniu ustawa o ustroju szkolnictwa w Polsce, o której pisaliśmy w Nrze 9 „Roli". Po zatwierdzeniu jej przez Senat i ogłoszeniu w „Dzienniku ustaw" będzie ona obowiązywała już od września bieżącego roku.

Tragedja rodzinna w Krzeszowicach. W domu Goldsteinów w Krzeszowicach koło Krakowa rozegrała się ponura tragedja rodzinna. Goldsteinowie mieli dwóch synów: 28-letniego Dawida i 24 letniego Mejlecha. Bracia nienawidzili się i stale powstawały między nimi kłótnie i bójki, którym nie mógł zapobiec ani ojciec, ociemniały starzec, ani chora matka. Podczas jednej z takich kłótni w ubiegły czwartek Dawid chwycił siekierę i kilka razy uderzył nią w głowę młodszego brata, Mejlech usiłował się bronić i chciał wyrwać siekierę. Wtedy Dawid ciął go siekierą w rękę. Gdy Mejlech padł na ziemię, zalany krwią, Dawid wybiegł z domu, udał się nad rzeczkę Krzeszówkę i rzucił się do wody. Po niejakim czasie zwłoki samobójcy wydobyto z nurtów rzeczki, zaś ciężko rannego Mejlecha odwieziono do szpitala w Krakowie.

Krwawa tragedja w Krośnie. W powiatowej komendzie policji państwowej w Krośnie miała miejsce krwawa tragedja. Oto przodownik policji Feliks Bojko, posprzeczawszy się z przodownikiem Jakóbem Florkiem, dobył rewolweru i strzelił do Florka, raniąc go ciężko w ramię. Po dokonanym zamachu, zanim obecni zdolali go ubezwładnić, Florek celnym strzałem w skroń pozbawił się życia.

„Przepukiwanie" dziewcząt. We Lwowie toczyła się w ubiegłym tygodniu ciekawa rozprawa sądowa. Na ławie oskarżonych zasiadło kilku parobczaków ze wsi Sokolniki pod Lwowem, oskarżonych o pobicie mieszkańca tej wsi Andrzeja Ordy. To zdarza się często, ale ciekawy jest właśnie powód owego pobicia. Oto w tej wsi panuje dziwny i oryginalny zwyczaj. Polega on na tem, że każda dziewczyna przed zamążpójściem musi być „przepukana". W szczególności w czasie przed świętami Bożego Narodzenia młodzież tamtejsza, zresztą dobrze znana policji i sądowi ze swych rycerskich wyczynów, obchodzi nocą wieś gromadami. Gdy pogasną światła po chatach, wchodzą młodzieńcy na obejścia gospodarskie, zamieszkiwane przez ich wybranki serca, oświetlają przez okna wnętrze chat latarkami elektrycznemi, powodując w mieszkaniu zamięszanie, bo wstydliwe dziewczęta muszą ukrywać się w bieli po kątach i pod łóżkami. Ponadto pukają do szyb tak długo, dopóki odnośna „panna domu" nie zaświeci lampy i nie zaprosi pukającego do izby, co w takim wypadku jest identyczne z przyjęciem odnośnego chłopca jako starającego się o jej rękę. — Taki to zwyczaj, zresztą wcale nieszkodliwy, stał się dnia 2 grudnia ub. r. wyjątkowo źródłem bardzo niemiłego zdarzenia. Kilku młodzieńców sokolnickich przyszło o 10 w nocy pod okna Andrzeja Ordy, aby „przepukać" jego nadobną córkę Katarzynę i również uroczą jej kuzynkę Agnieszkę. Jakkolwiek ojcowie zwykle radzi są z takich „przepukań", Orda, nerwowy skutkiem przejść wojennych, zbudzony niespodziewanie, porwał za drążek i wybiegłszy na podwórze, uderzył nim jednego z chłopaków. Ten, nie namyślając się wiele, tym samym drążkiem ściągnął ojca swej wybranki po głowie tak nieszczęśliwie, że ten runął na ziemię, zalany krwią. Prokuratorja oskarżyła wszystkich chłopaków o gwałt publiczny. Sąd jednak uniewinnił ich, gdyż ani Kasia, ani Jagnisia nie były w stanie dokładnie zeznać, jak to tam było. Widocznie serduszka ich nie pozwalały im na zbytnie obciążanie chłopczyków.

Tragiczna śmierć boksera. Wprawdzie sport jest polecenia godny, ale nie taki, podczas którego można nabawić się kalectwa a nawet i śmierć ponieść. A takich sportów niebezpiecznych dla zdrowia i życia ludzkiego, jest kilka. Do najniebezpieczniejszych i do najordynarniejszych należy bezsprzecznie boks i dziwić się należy, że są ludzie, którzy go uprawiają i którzy nań patrzą. Podobny on jest raczej do walki byków, aniżeli do ćwiczeń kulturalnych ludzi. Często też kończy się tragicznie. Tragicznie też zakończyły się zapasy bokserskie we Lwowie pomiędzy niejakim Grossem a studentem politechniki Godlewskim Eugenjuszem. W czasie walki Gross uderzył Godlewskiego tak silnie pięścią w głowę, że ten omdlały upadł na ziemię. Sędzia Landeck z Łodzi zamiast wstrzymać natychmiast walkę zupełnie, po doprowadzeniu Godlewskiego do przytomności kazał ją podjąć na nowo. Wyczerpanemu i osłabionemu Godlewskiemu zadał Gross jeszcze kilka ciosów, wskutek których ten omdlał ponownie. Przewieziony do szpitala zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Jak stwierdzono, od zbyt silnego uderzenia nastąpiło pęknięcie czaszki, wstrząs mózgu i wylew krwi. Gross i Landeck zostali aresztowani.

Zamach samobójczy uczenicy. Dworzec kolejowy w Żółkwi był widownią krwawego wypadku. Uczenica pierwszego kursu seminarjum nauczycielskiego 15 letnia Jadwiga Czarnecka, po przejechaniu kilkuset metrów pociągiem, rzuciła się ze stopnia wagonu pod koła pędzącego pociągu. Gdy ją wyciągnięto z pod kół, miała zmiażdżoną rękę i nogę. Przewieziono ją do szpitala, gdzie dokonano amputacji. Powodem tragicznego kroku były nieporozumienia z narzeczonym, uczniem 8 klasy gimnazjalnej.

Rewizje i aresztowania w Tarnopolu. Wśród młodzieży ukraińskiej w Tarnopolu przeprowadziła policja liczne rewizje. W rezultacie aresztowani zostali: Eugenjusz Romaniuk, Włodzimierz Dubieński, Feliks Korduba, Włodzimierz Kierdaczy i Jarosław Wacyk. W następnym dniu odbyły się liczne rewizje we wsi Szlachcińce pod Tarnopolem. Powody rewizyj i aresztowań są narazie nieznane.

Wybuch kotła. Podczas dokonywania próby w Leśnicy koło Borysławia na kopalni Aldona nastąpił wy-

buch kotła. Wskutek eksplozji zabity został jeden robotnik, drugi zaś doznał ciężkich poparzeń.

Gorszące sceny w kościele. W Łaziskach Górnych na Górnym Śląsku odbyła się w niedzielę 21 b.m. uroczystość wprowadzenia w urząd nowego proboszcza ks. prof. Tomali z Mikułowa. Uroczystość ta została zakłócona wrogą manifestacją miejscowej ludności przeciw nowemu proboszczowi. Ludność prowadziła zaciekłą agitację, ażeby proboszczem został wikary ks. Urban. Zachowanie się manifestantów było niesłychanie gorszące. Tłum a zwłaszcza kobiety obrzuciły śniegiem nowego proboszcza, a policję obrzucily książkami do modlenia. Wreszcie kres przykremu incydentowi położyła policja. Zachowanie się ludności tamtejszej jest conajmniej dziwne, gdyż ks. Tomala jest zasłużonym działaczem narodowym i człowiekiem bardzo taktownym.

Przy łożu konającego ojca. We wsi Stanisławów w powiecie wieluńskim umierał na uwiąd starczy Ferdynand Tietze. Przy łożu konającego znaleźli się dwaj jego synowie: Fryderyk i Otto. Nie zważając na to, że ojciec ich lada chwila może wydać ostatnie tchnienie, rozpoczęli gorszący spór o spadek po nim. W czasie sprzeczki Fryderyk chwycił za stołek i całą siłą uderzył nim Ottona, który padł trupem na miejscu. Stary Tietze na ten widok dostał ataku serca i zakończył również życie.

Zderzenie pociągu z autobusem. Pod Łowiczem pociąg pospieszny najechał na autobus, zdążający z Żyrardowa do Łowicza. Siła uderzenia była tak straszna, że autobus został rozbity i na przestrzeni kilkuset metrów wleczony był przez pociąg po torze. W strasznej tej katastrowie znalazło śmierć trzech pasażerów autobusu, a 9 zostało rannych. Odwiedziono ich natychmiast do szpitala w Łowiczu.

Okrutna siostra. W bożnicy przy ulicy Garwolińskiej w Warszawie znaleziono onegdaj jakiegoś człowieka, który podarł na sobie ubranie i bieliznę. Jak stwierdzono, był to Motel Rotbard, li zący lat 39, chory umysłowo. Chorego przewieziono do rodziny, ale ta przyjąć go nie chciała. Policjant umieścił go więc przemocą u jego siostry w kuchni. Nazajutrz rano dozorczyni domu ujrzała na korytarzu w kącie Rotbarda nawpół nagiego, okrytego brudnemi workami i łachmanami, drżącego z zimna. Wezwano policję, która ponownie wprowadziła chorego do mieszkania, oświadczając, że jeżeli mu się stanie coś złego, rodzina będzie za to odpowiadać. Przez dwa dni pozostawał chory w sieni. Przechodzono obojętnie tuż prawie koło niego. Ktoś zainteresował się biedakiem, ale było już zapóźno. Motel zsiniały, skostniał z zimna, dawał bardzo słabe oznaki życia. Wezwano policję poraz trzeci, przybyło pogotowie ratunkowe, jednakże w międzyczasie Motel zmarł. Zaznaczyć należy, iż Motel Rotbard zmarł nietylko z zimna, ale i z głodu, gdyż siostra nie dała mu przez te kilka dni nic do jedzenia. Wypadek powyższy wywołał w całej okolicy żywe oburzenie.

Żebrak-lichwiarz. Dziad dziadowi nierówny i niejeden dziad kupiłby z łatwością niejednego pana. A że tak jest, świadczy o tem świeży wypadek, jaki miał miejsce w Lublinie. Oto krążył tam od domu do domu 72 letni starzec, któremu nie szczędzono ani datków, ani darmowych obiadów, litując się nad jego nędzą. W tych dniach pękła jednak bomba, która wywołała wielką sensację. Okazało się bowiem, że ów żebrak, nazwiskiem Jaczewski, jest wcale zamożnym człowiekiem. Oto doniósł on policji, że 65 letnia małżonka jego, którą poślubił przed czterema miesiącami, uciekła z kochankiem (!!), zabierając sporo gotówki, weksli na 1.500 złotych i biżuterję. Policja, dobrze znająca poszkodowanego, jako nędzarza, zdumiała się tym meldunkiem, ale dochodzenia potwierdziły zeznania. Odszukanej żonie odebrano przywłaszczone skarby. Okazało się również, że ten rzekomy nędzarz pożyczał pieniądze na weksle za wysokim procentem.

Szpital w płomieniach. W szpitalu sejmikowym w Stolinie wybuchł groźny pożar. Z powodu wadliwej konstrukcji przewodu kominowego budynek szpitalny niemal w jednej chwili stanął w płomieniach, wywołując nie dającą się opisać panikę wśród chorych. Dzięki szybkiej orjentacji zarządu szpitala, chorzy natychmiast przeniesieni zostali w bezpieczne miejsce, poczem dopiero przystąpiono do energicznej akcji ratunkowej. Po kilku godzinach wytężonych zmagań z groźnym żywiołem, pożar ugaszono.

Człowiek-gryzoń. Na spokojnej ulicy Dominikańskiej w spokojnem mieście Grodnie, wydarzył się onegdaj wypadek, godny upamiętnienia. Pokłócili się tam o rzadkiego teraz pasażera dwaj dorożkarze, ofiarujący mu przejażdżkę sankami. Scysja przybierała coraz gwałtowniejszy charakter, wskutek czego pasażer uciekł, a zwaśnieni sankarze kontynuowali zaogniający się spór. Przerodził się on wreszcie w bójkę, w czasie której jeden z sankarzy, niejaki Cybulski, chwycił przeciwnika swego, Pipkina, zębami za nos i odgryzł mu tę ozdobę twarzy całkowicie. Pipkina przewieziono do szpitala, a Cybulski będzie odpowiadał za swe skłonności „gryzonia".

Bohaterski chłopczyk. We wsi Staszuny na Wileńszczyźnie wybuchł pożar w zabudowaniach Ludwika Bańczy. Gospodarze byli nieobecni, natomiast w mieszkaniu przebywało czworo dzieci w wieku od 2 do 6 lat. Ogień począł się gwałtownie szerzyć. Pożar zauważył syn sąsiada, 12 letni chłopiec. Z narażeniem własnego życia wbiegł do budynku, objętego płomieniami i powynosił stamtąd kolejno wszystkie dzieci.

Furjat z płonącą żagwią. Mieszkańcy wsi Kościury na Wileńszczyźnie przeżyli chwilę trwogi, spowodowaną przez umysłowo chorego Mieczysława Czajewskiego, który, dostawszy ataku szału, podpalił swe zabudowania gospodarcze, a następnie wybiegł z płonącą żagwią, usiłując podpalić również inne sąsiednie budynki. Ludność rzuciła się na furjata i ubezwładniła go, dzięki czemu uniknięto poważniejszego niebezpieczeństwa. Spaliły się tylko doszczętnie zabudowania Czajewskiego.

Zbrodnia nieludzkiego ojca. We wsi Kuny na Wileńszczyźnie wykryto przykute do ściany rozkładające się zwłoki ludzkie. Odkrycia tego dokonano, gdy po śmierci Antoniego Parnusa, właściciela nieruchomości, na którego terenie szczątki te znaleziono, przystąpiono do przeróbki piwnicy. Zwłoki znajdowały się w ciemnym, ogrodzonym drewnianą ścianą, kącie piwnicy. Śledztwo ustaliło, iż są to zwłoki zaginionego przed kilku laty umysłowo chorego syna gospodarza Antoniego Parnusa, 24 letniego Adama, którego ojciec zamknął w piwnicy i przykuł do ściany, gdzie też nieszczęśliwy syn zginął śmiercią głodową.

Walka z przemytnikami. Na odcinku granicznym w pobliżu miejscowości Rudziankowo banda przemytników w sile 15 ludzi usiłowała przedostać się z towarami do Polski. Wezwani do zatrzymania się przemytnicy, rzucili się do ucieczki. Podczas pościgu został ciężko ranny jeden z przemytników i wkrótce zmarł. Reszta zdołała zbiec, porzuciwszy po drodze towary przemycane. Przemytnicy byli odziani w białe prześcieradła celem lepszego zamaskowania się na śnieżnych terenach granicznych.

Krwawa zabawa maskowa. Z Bratislawy donoszą: W miejscowości Udwarnok na Słowaczyznie przy-

szło w niedzielę w czasie zabawy maskowej do bójki między parobczakami na tle zazdrości. Na sali powstała panika. Dano około 50 strzałów rewolwerowych. 5 osób zostało zabitych, a 14 odniosło ciężkie rany. 10 parobczaków aresztowano.

Krewki minister. W parlamencie rumuńskim na jednem z posiedzeń doszło do wielkiej awantury. Gdy poseł Maresz zarzucił ministrowi skarbu, iż w pewnej sprawie działał w chęci zysku, minister Popowici przyskoczył do niego i uderzył go dwa razy w twarz. Wywiązał się nieopisany tumult tak, że przewodniczący musiał przerwać posiedzenie.

Śmierć wśród złota. Stare opowieści o skąpcach, umierających samotnie wśród skarbów złota, srebra, drogich kamieni, sprawdziły się i teraz i znalazły wyraz w następującym wypadku: Oto w Wiedniu żył stary Rudolf Bergman, posiadający miljonowy majątek i wiodący życie skąpca i swego rodzaju dziwaka.



Pewnego ranka znaleziono go martwego w swoim pokoju. Na stole i kanapie leżały stosy monet srebrnych przedwojennych, któremi stary skąpiec lubiał się bawić. Żył on samotnie, tylko w towarzystwie dwóch niedołężnych służących. Udar sercowy położył kres jego życiu wśród skarbów złota.

Berlin bez piwa. W ubiegły czwartek rozpoczął się w Berlinie strajk piwny. Bierze w nim udział 12 tysięcy piwiarń i wiele większych lokali restauracyjnych. Właściciele browarów, mimo strajku, nie chcą obniżyć ceny piwa i postanowili strajk przetrzymać.

Zmiana rządu we Francji. We Francji nastąpiła w ubiegłym tygodniu najniespodziewaniej zmiana rządu. Gabinet Lavala w senacie pozostał w mniejszości, wskutek czego musiał się podać do dymisji. Przesilenie nie trwało jednak długo, gdyż minister spraw zagranicznych Tardieu utworzył nowy gabinet, który już objął urzędowanie. Czy długo pozostanie on przy władzy, niewiadomo, gdyż rządy we Francji zmieniają się bardzo szybko.

Śmiech powodem zabójstwa. W Paryżu żył inżynier Robert Keller, który, jako lotnik, nabawił się w czasie wojny niezwykłej choroby. Polegała ona na tem, że Keller śmiał się bez żadnego powodu. Śmiech nieszczęśliwego człowieka doprowadził żonę jego do niezwykłej irytacji. A pan Keller, choć usiłował nieraz to uczynić, nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Onegdaj państwo Kellerowie bawili w gościnie u znajomych, a kiedy z niej powrócili, mąż udał się do łazienki, aby się wykąpać. Żona oczekiwała powrotu jego ze strachem, gdyż była pewna, że wejdzie on do pokoju z swym zwykłym śmiechem. Oczekiwania jej sprawdziły się w zupełności. Keller wszedł do pokoju z szeroko otwartymi usty od śmiechu. Pani Keller chwyciła wówczas za rewolwer i strzeliła w same jego usta. Nieszczęśliwa ofiara swojego śmiechu padła na miejscu trupem.

Sześć skrzyń złota w morzu. Podczas wyładowywania przesyłki złota z parowca „Berengaria“ w Cherbourgu we Francji zerwał się łańcuch żórawia, skutkiem czego 10 skrzyń spadło na molo a 6 do wody. Część złota wydobyli natychmiast nurkowie, jednak niektóre sztaby powypadały z rozbitych paczek i wbiły się w muł na dnie morza, tak, że nie zdołano ich jeszcze odnaleźć. Brakuje 10 sztab 10-kilowych.

Wiosna i zima we Włoszech. Tegoroczna zima ma swoje ciekawe kaprysy. W jednym i tym samym dniu w części Europy jest niezwykle ciepło, a w drugiej zawieje śnieżne lub mrozy. Tak też jest i we Włoszech. Jak donoszą z Rzymu, południowe Włochy zostały zaskoczone niebywałą falą zimna, podczas gdy w środkowych i północnych Włoszech panuje w zupełności wiosna.

Narodziny podczas ślubu. W jednym z kościołów w Rzymie odbywał się przed kilku dniami ślub córki kupca z młodym urzędnikiem. Nieszczęściem młodej pary było to, iż miłość ich była zbyt gorąca i skutki jej groziły lada chwila katastrofą. Z powodu różnych przeszkód nie mogli jej uprzedzić w należytym czasie, poszli więc do ołtarza w ostatniej niemal chwili. I tu właśnie zaskoczyło nieszczęście pannę młodą. Właśnie kiedy przed ołtarzem zapytał ją kapłan, czy ma dobrą a nieprzymuszoną wolę wziąć sobie pana młodego za męża, panna młoda upadła u stóp księdza, nie mogąc już dłużej klęczeć. Podniesiona i podparta przez ojca i pana młodego, zdołała wyszeptać tylko słowo: „Tak“, poczem porodziła pięknego, zdrowego chłopczyka. Ksiądz, zorjentowawszy się, o co chodzi, opróżnił natychmiast kościół z publiczności i wezwał lekarza. Dziecię zapisano w metrykach już jako ślubne. Był to także rekord niebywały swojego rodzaju.

Partja szachów o śmierć lub życie. W Anglji żyło dwóch znanych szachistów, a przy tem serdecznych przyjaciół: Karol Fletcher i Ludwik Bertrand. Obydwaj przyjaciele grywali często u Fletchera w szachy. Fletcher był żonaty z kobietą niezwykłej urody. Nic też dziwnego, że żona przyjaciela spodobała się Bertrandowi, który też zaczął się do niej umizgać. Umizgi nie pozostały nieodwzajemnione, ale zaślepiony mąż w swej połowicy nie dostrzegał niczego. Znaleźli się jednak przyjaciele, a wiadomo, że przyjaciele są największymi wrogami swych przyjaciół. Otóż jeden z przyjaciół zawiadomił anonimowym listem Fletchera, co się dzieje. Ten początkowo nie chciał wierzyć. Z czasem jednak, obserwując ściślej żonę i Bertranda, przekonał się, że oskarżenie było prawdziwe. Bezgraniczna rozpacz zapanowała w sercu nieszczęśliwego człowieka, dla którego żona była największym skarbem na świecie. Wówczas wpadł on na oryginalną myśl roztrzygnięcia trudności. Oto rozmówił się szczerze z Bertrandem i zaproponował mu pojedynek szachowy. Niechaj rozegrają partję szachów, a kto przegra, sam pozbawi się życia. Tak też się stało. W niezwykłym pojedynku zwyciężył mąż. W następstwie tego wyniku Bertrand odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru. Niktby może nie wiedział był o powodach śmierci Bertranda, gdyby nie piękna pani Fletcherowa, która je rozgłosiła, aby się poszczycić swym sukcesem.

Ofiarował syna na ołtarzu bogini. Gazety angielskie podają wiadomość z Madrasu, przypominającą przypowieść biblijną o ofierze Izaaka przez Abrahama. Pewnemu kapłanowi z Udamalpet przyśniło się, że bogini, opiekująca się chorymi, zażądała od niego, by złożył ofiarę ze swego syna na jej ołtarzu. Kapłan spełnił rozkaz bogini, przyprowadził swego dwunastoletniego syna do ołtarza i przed posągiem bogini podciął mu gardło.

RZECZY CIEKAWE.

Góry na księżycu.

Jeżeli patrzymy z ziemi na księżyc, to wydaje się on nam jako tarcza w całości lub częściowo świecąca. A tymczasem, jak to zresztą prawie każdemu wiadomo, księżyc ma powierzchnię, zupełnie podobną do powierzchni ziemi, a więc są tam góry, doliny, wyżyny i łożyska rzek, w których brak wody.



Na obrazku naszym widzimy właśnie część powierzchni księżyca. Jest to tak zwana Góra Kopernika. Na wszystkie strony od niej rozbiegają się grzbiety innych gór, które ciągną się na powierzchni około 22 mil, tworząc dzikie parowy i szczeliny. — W górach tych są setki, a może i tysiące wygasłych kraterów. Kratery te i drobne pagórki czynią powierzchnię księżyca, jakby pooraną szczotką. Najwyższy szczyt z gór Kopernikowskich ma wysokości 4.000 metrów, a więc w niczem nie ustępuje dość wysokim górom ziemskim, a w stosunku do powierzchni księżyca jest on prawdziwym olbrzymem.

Pogrzeb na Filipinach.

Pewien misjonarz angielski opisuje pogrzeb Malajczyka na Filipinach następująco:

Dwunastoletni Malajczyk wracał z miejscowości Kiangan do swojej wsi rodzinnej Banave. Był wieczór. Chłopiec dotarł już do wartkiego strumienia, wijącego się w odległości trzech kilometrów od osady. Nagle spadł na jego kark straszliwy cios noża, który prawie odciął mu głowę od tułowia. Małe ciało stoczyło się bez życia na brzeg strumienia.

Następnego dnia zawiadomiono o morderstwie posterunek wojskowy w Bonave, skąd kilku żołnierzy udało się na miejsce zbrodni. Zaledwie się tam zjawili, pewien kręcący się w pobliżu tubylec dostał napadu szału i dziko wywijając nożem, zaczął biegać w kółko. Żołnierze pośpieszyli ku niemu. Szaleniec rzucił się nagle na jednego z wojskowych i zranił go kilka razy. Inny żołnierz złożył się z karabinu i zastrzelił tubylca. Przebieg sprawy można zrekonstruować w ten sposób, że morderca zabił młodego chłopca, aby zdobyć jego głowę. Może popchnęła go do tego sadystyczna żądza krwi, może jakaś zemsta, albo też chęć złożenia ofiary bogom.

Misjonarz na wiadomość o wypadku udał się do wsi, aby zobaczyć pogański pogrzeb młodego Malajczyka. Był to niesamowity obrzęd. Od wczesnego rana rozlegał się wśród gór głos narzędzia muzycznego bang-i-bang, przy którem tubylcy tańczyli na pogrzebie. Wszyscy mieli na głowach białe kapelusze z łyka, a na ramionach i na nogach łykowe więzy. Pierwsze morderstwo zbudziło w nim bestję, a potem szał na widok niepotrzebnych świadków. Skutki były dla niego fatalne.

Na grzbiecie dźwigał każdy miech na gorzałkę, z którego sterczały długie, szczecinowate włosy. Z lewego ramienia zwisała każdemu trójkątna żerdka (instrument bang-i-bang), na której wybijali rytmy swojego tańca drewnianym kijem, trzymanym w prawej ręce. Niektórzy mieli zamiast żerdki wielkie tarcze, zrobione z jednego kawałka drzewa, pomalowane wapnem w białe pasy. Tancerze występują w grupach od 10 do 15 mężczyzn.

Właśnie w tej chwili, gdy misjonarz przybył do wsi, nadeszła od strony wału, odgraniczającego pola ryżowe, jedna z takich grup. Przewodnik tej uderzył dzidą w lewą stronę i zasłonił się tarczą. Wszyscy inni zwrócili głowy na lewo i uderzyli gwałtownie w żerdki. Pochyleni zrobili kilka kroków, potem zwrócili głowy w prawo i powtórzyli ten sam manewr.

Biali goście weszli do chaty, w której leżał zabity. Przed chatą głośno lamentowano. Wewnątrz znajdowało się ciało podparte kijami i przytwierdzone w siedzącej pozycji do pionowo ustawionych desek. Chłopakowi włożono do ręki dzidę. Upłynęło już cztery dni od śmierci i zwłoki wzdęły się jak balon kulisty. Był to ohydny widok. Jedna po drugiej wchodziły do izby kobiety osady, zawodząc sakralne „ji-ji-ji" tak głośno, że echo rozlegało się po stokach gór. Po krótkiej pauzie wykrzykiwały drapieżne zaklęcia pod adresem zmarłego, żądając, aby duch jego wywarł okrutną zemstę na duchu mordercy. A równocześnie gęsty rój much oblegał ciało nieboszczyka, obłażąc wszystkie sprzęty i rzucając się na wchodzących.

Matka chłopca siedziała w kuczki przed zwłokami. Jej twarz miała tępy wyraz. Czasem tylko zbolała kobieta zanosiła się szlochaniem. Popołudniu czarodzieje plemienia złożyli ofiarę w sąsiednim lesie. Następnie cała banda wdarła się w wściekłym pośpiechu do domu żałoby. Wśród dzikiego hałasu porwała trupa i pobiegła z nim w góry. Zaniesiono go do jaskini, w której poprzednio złożono już broń, aby dusza mogła się zemścić i wśród wielu ceremonij zamurowano wejście do grobu.

Po powrocie uczestników uroczystości pogrzebowych do chaty, robili oni wrażenie wściekłych bestyj. I wtedy dopiero zaczęła się na dobre orgja, przeplatana tańcami, zawodzeniem dzikich pieśni i piciem pewnego rodzaju piwa ryżowego.

Wypchany krogulec broczący krwią.

Wiadomość, jaką przyniosły gazety angielskie o wypchanym ptaku znalezionym w grobowcu egipskim, który przed każdą wojną broczy krwią, brzmi tak nieprawdopodobnie, że trudno by jej było dać

wiarę, gdyby nie podawały, iż posiadają tę widomość od lorda Baden-Powella, twórcy skautingu. Otóż lord Baden-Powell oświadczył, że w pewnem znanem mu prywatnem muzeum znajduje się krogulec, wypchany bardzo kunsztownie, a znaleziony w grobowcu egipskim, liczącym 4.000 lat istnienia. Ptak ten przed wybuchem każdej wojny poczyna broczyć krwią. — Właściciel tego starożytnego okazu zauważył to poraz pierwszy w przededniu wybuchu wojny angielsko-burskiej. Ślady krwi były widoczne aż do ukończenia tej wojny.

W 1914 r. w miesiącu czerwcu ptak zaczął znów broczyć krwią. Trwało to aż do 1918 r., kiedy zawieszenie broni przerwało światowy przelew krwi.

Generał Baden-Powell stwierdził najuroczyściej, iż fenomen ten został przez niego osobiście kontrolowany. Uczeni, którym zakomunikowano o tem niezwykłem zjawisku orzekli, iż ciecz, wydzielająca się z wypchanego ptaka zawiera płyn, używany przez egipcjan do balsamowania. Dlaczego jednak w tak historycznych chwilach dokonywa się to zjawisko — tego nie potrafi nikt wytłomaczyć. Jeden z egiptologów twierdzi, iż jastrząb jest symbolem bożka wojny i zwiastuna losów, znanego w mitologji egipskiej pod nazwą „Soteri". Może to on przez swój symbol zwiastuje światu klęskę grożącej wojny?...

Wojna i pokój.

Według obliczeń uczonych historyków w czasie ostatnich 3.421 lat istnienia ludzkości tylko 268 lat było takich, w których na całym świecie nie było nigdzie wojny. Wynika z tego, że w 3.153 latach ostatnich trwały wojny w któremkolwiek państwie na całym świecie. W czasie tym zawarto około 8.000 traktatów pokojowych, które uroczyście ogłaszano jako wieczyste. Każdy z nich trwał jednak tylko dwa, wyraźnie dwa lata. Co tu więc mówić o wiecznym pokoju, lub o wieczystych traktatach!

Nowi czytelnicy mogą otrzymać początek powieści „Stłumione echa" za nadesłaniem 1 zł. w liście znaczkami pocztowymi. (Wyślemy 4 egzemplarze „Roli").

Numera początkowe posiadamy w zapasie. Można zamawiać w sklepach, w których Czytelnicy „Rolę" kupują lub w Administracji „Roli" nadsyłając w liście znaczki pocztowe po 30 gr. za numer.

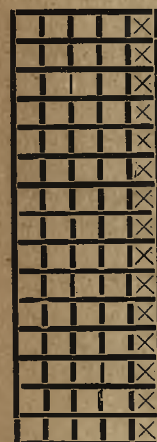
ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Władysław Cudzioch** w K.: Wierszyki coraz lepsze, ale z powodu pewnych braków jeszcze nie możemy ich drukować. **J. J. Sierp Drewnicki** w K.: Wiersze poprawne, ale ciężkie. Wszystkie utwory konkursowe nie przeznaczone do druku, poszły do kosza. **Ślązak:** Jeżeli Panu tak dobrze było w Austrji, to nikt Pana w Polsce nie trzyma. Albo niech Pan jedzie do Niemiec i przekona się, jak tam z Polakami postępują. **Stacha Kulmówna** w D.: Maciuś za życzliwe rady łapki całuje. Uczyniłby to z całą rozkoszą osobiście, ale Kaśka mu nie pozwala. — **Helena Latawcówna** w Z.: „Tęsknota" nie udała się. **Helena Kolberówna** w B.: Pojechałby Maciuś, pojechał, aby powitać życzliwą mu osóbkę, ale cóż kiedy drobnych nie staje. A może wygra dolarówkę, to nietylko pojedzie, ale i gościńca dla panny Halusi przywiezie. Byle tylko otrzymał podziękowanie, o jakiem marzy i jakiego pragnie. **Fr. Chorzępa** w N. D.: Na zamówione numera w liście wysłaliśmy czek. Zagadki przeznaczamy do druku, lecz kiedy je zamieścimy, trudno nam oznaczyć. **Stefan Biernat** w K.: Niech Pan nie zważa na to, że spółka katolicka, gdyż to złym ludziom nie przeszkadza robić nadużyć. Niech się Pan nie da naciągnąć na żadne wydatki.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Antoni Poloczek z P-).



1. Rodzaj wędzidła końskiego. 2. Pociąg, popęd. 3. Przegląd wojska, rewja. 4. Minerał. 5. Wąwóz, jar. 6. Czas wypoczynkowy (wspak). 7. Dywanik wełn. 8. Nazwa pałacu we Florencji. 9 Zdechłe zwierzę. 10. Taniec hiszpański. 11. Nikczemnie, niegodziwie. 12. Wzniesienia na równinach lodowatych morza Północn. 13. Chłopczyna inacz. 14. Narodowość. 15. Skorupiak.

Litery wstawione w miejsce krzyżyków, czytane z góry na dół dadzą nam rozwiązanie

2. Szarady.

I.

(Ułożył Jau Liwosz z S. .

Posłuchajcie a powiem wam coś ciekawego,
Raz wybrał się Kuba w zaloty poranka [pewnego
Do całości. Ale niestety od niego trzecie [drugie
Oberwał, że nieprzytomny leżał przez chwi- [le długie.
Pierwsze całość jeszcze jak z pyskiem sko- [czy do niego,
Że Kuba uciekł, nie chcąc znów oberwać [trzeciego drugiego.

II.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Pierwsze drugie śnieg nam przecie
Pola, lasy, o tem wiecie.
Ale trzecie promień wiosny,
Bo wnet taje nieradosny.
Całość stroji liny, płoty
W poniedziałki lub soboty.

3. Zagadka.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Wprost przez Noego używany,
Wspak styl w historji dobrze znany.

4. Uzupełnianka.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

R	A					Utwór poetycki.
	R	A				Miasto polskie.
		R	A			Rośliny morskie
			R	A		Inaczej przyrząd
				R	A	Rosyjskie imię żeńsk.

5. Logogryf.

(Ułożył Józef Górecki z K,).

■ ☆ ■ ☆ ☆ Święto.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Sosa.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Nie trudne wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Zatoka.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie wspak.
■ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto we Francji.

Litery w miejscach czarnych kwadracików dadzą rozwiązanie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 11 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 8 „Roli": 1. Logogryf: Stany Zjednoczone. 2. Szarady: I. Komora, II. Bylica, 3. Tajemniczy czek: Człowiek nie jest stworzony na łzy i uśmiechy, ale dla dobra bliźnich swoich ludzi.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązanie nadesłali pp.: Jan Migdał z U., Michalina Kopcińska z Z., Karol Nalepa z O., Kazimierz Horski z P., Kazimiera Skawińska z S., Jadwiga Mikulska z O., H. Tadanier z L., Jan Ligęza z Ł.. Mikołaj Nalepa z L. i Antoni Poloczek z P.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimierz Horski z P. i Jan Ligęza z Ł.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Artretyzm.

— Co u ciebie słychać? Mizernie wyglądasz.

— Nie daje mi spać artretyzm.

— Jakto? Przecież nigdy artretyzmu nie miałeś!

— Tak, ale ma go mój sąsiad i po całych nocach jęczy.



W restauracji.

— To oburzające panno Wandziu! guzik w zupie! Co to ma znaczyć?

— Eee, mój panie, skąd ja mam wiedzieć, co to ma znaczyć? Nie jestem przecież wróżką — tylko kelnerką!



Odpowiedział.

Nauczyciel: — Co widzimy nad sobą w dzień pogodny?

Uczeń: — Niebo.

Nauczyciel: — Dobrze. A co widzimy nad sobą w dzień pochmurny?

Uczeń: — Parasol.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 26 lutego b. r.

Pszenica	20·75—27·00	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	25·00—25·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	24·50—25·00	Koniczyna na-siennn. czer.	230·00—250·00
Jęczmień .	22·00—22·50	Mąka żytnia	40·50—41·00
Fasola biała	21·00—24·00	Mąka pszen.	45·50—46·50
Groch zwyk.	27·00—29·00	Otręby pszen.	14·50—15·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby żytnie	14·50—15·00
Łubin żółty	19·50—20·50	Mąka czerw.	18·00—19·00
Koniczpastew.	15·00—17·00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 26 lutego b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·50

Jaja wylęgowe po pierwszorzędnych nioskach kur rasy białe zielononóżki Wyandottów białych, Leghornów białych oraz Karmazynów wysyła po 40 gr. za sztukę za pobraniem pocztowem hodowla drobiu rasowego Stanisława Kozła w Sidzinie poczta Skawina.

Zaraz sprzedam nowy domek, dwa morgi pola obsianego, sprzęty domowe, ładna krowa, mały sadek, woda przy domu, kościół na miejscu. Adres: Piotr Miękina, Raciborsko (poczta w miejscu), powiat Wieliczka.

Baczność Pszczelarze!

Żądajcie bezpłatnie cennika i próbek **węzy sztucznej z najgłębszemi komórkami.** Węza nasza jest wyrabiana najnowszym sposobem, dlatego jest elastyczna i mocna, jak skóra. **Pszczoły i matki pszczele rasowe** również do nabycia.
Adres: **Pasieka przemysłowa: E. RADOMSKI poczta Klewań 2.**



Dostarcza:
Hamaki, siatki tennisowe. Sprzedaje konopie i kupuje lub zamienia na gotowe wyroby.
Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Na żądanie wysyła cenniki.

Baczność!

Nowo otwarta **introligatornia i sprzedaż papieru, przyborów szkolnych i kancelaryjnych oraz walizek, teczek, portfeli i torb w Strumieniu,** Śląsk Ciesz. (naprzeciw poczty).
Solidna i trwała oprawa książek, po cenach bardzo niskich. O wszelkie prace i zakupy uprasza
E. Brachaczek. Introligator.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dosynkowe i wiele wiele innych. Stron 120.
Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1·20 zł

PIECZĘCIE dla Stowarzyszeń, urzędów gminnych parafjalnych Kółek Rolniczych i t. p.
GWOŹDZIE DO SZTANDARÓW
Odznaki dla Stowarzyszeń wykonuje po najniższych cenach
JÓZEF MARCZYK RYTOWNIK
Kraków, św. Tomasza 24 (Gmach Kasy Oszczędności)
Konto P. K. O. Kraków Nr. 407.948.

Aparat fotograficzny mało używany, w dobrym stanie, okazyjnie do sprzedania. Wymiar: 10×15, podw. anastygmat Mayera F. 1:4.5, podwójny wyciąg, ognisk. 18 cm. Dodatki gratisowo: 1 futerał skórzany na aparat i 6 kaset z rzemieniem przez ramię, 1 statyw drewnianyczterodzielny polerowany, 6 kaset do płyt i 1 kaseta do błon płaskich. Na żądanie służę wzorami zdjęć fotogr. Cena na zapytanie. Początkującym udziela listownie bezinteresownie gruntownych informacyj fotograficznych. Adresować: Br. January Wilk, Dukla, Małopolska.

Wielki ilustrowany Kalendarz Powszechny
na rok 1932

jest już do nabycia w Administracji „Roli“ po cenie 2 zł. 95 gr. — Po zgłoszeniu zamówienia wysyłamy czek na Kalendarz w numerze »Roli«.



WIELKĄ OSZCZĘDNOŚCIĄ

dla każdego gospodarstwa jest wypróbowana Praktyczna Książka Kucharska pod tytułem

366 obiadów

ułożona przez Marję Gruszecką, która zawiera praktyczne i oszczędne przepisy do sporządzania tanim sposobem smacznych potraw, ciast, legumin, tortów, soków, likierów, konfitur i t. p. Ponadto Praktyczna Książka Kucharska zawiera cały szereg praktycznych i oszczędnych wskazówek dla każdego gospodarstwa: Jak się obejść z bielizną przy praniu. Sposób tępienia mrówek i robactw drzewnych. Tępienie moli, myszy i innych robactw dokuczliwych. Również zawiera tasama książka cały szereg praktycznych środków leczniczych i innych niezbędnych dla każdej gospodyni wskazówek gospodarskich. — Cena tej książki w wielobarwnej okładce z przesyłką Zł. 3.50. Na przesyłkę poleconą dołączyć 50 groszy. **Do nabycia w Adm. „Roli“.**

Prenumeratorów, nadsyłających nam zmiany adresów, prosimy o podawanie nam także dawnego adresu, pod jakim „Rola“ przychodziła, abyśmy pierwotny adres mogli wykreślić, a nowy wpisać.